CENA 30 ZŁ

Numer podwójny — 30 ilustracji — Prace Ignacego Fika, Antoniego Gołubiewa, Jana Czepa

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 1-2 (110-111) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 4—17 STYCZNIA 1948 ROKU ROK IV

WYŻSZA SZKOŁA HANDLOWA

STEFAN SULIMA

Cienie nad ugorem

Miasta Pomorza Mazowieckiego są po roku jak znajome dzieci. Z tającym sercem kładzie się spojrzenia na ich mury, niby dłonie na głowy tamtych i przypomina ile nowych coraz dojrzalszych i wyrazistszych cech nabrały ich oblicza, wycyzelowane niewidocznymi pociągnięciami czasu.

Jakże miłym znajomym, znajomym na dorobku, wydaje się Olsztyn po roku niewidzenia. Z pogodną gospodarską dumą demonstruje nieistniejące przed rokiem kwietniki, zieleńce, nowe pomniki, świecące świeżym tynkiem ściany, firanki rusztowań na wczorajszych czerepach kamienic, przejaśniałe po porządkach ulice, wielkomiejską zdobycz: trolejbusy i poweselałych, ożywionych przez rok mieszkańców.

U podnoży ratusza, pod megafonem, który z udanym przejęciem tokuje frazesami, na kamiennym obwałowaniu przysiada wieczorami gromada ludzi z naturalnością jakby odwieczną. Głośnik „wykuwa", „ujarzmia", „przełamuje", „kroczy" i „wydziera", a ludzie najspokojniej gadają o drobiazgach, składających się na zwykłe codzienne życie. To, które nie czekając, wyprzedziło w dążeniu do normalności napuszonego deklamatora. Gdzieś zapodziały się zahamowane ruchy i zakłopotane spojrzenia, zginęły niepewne kroki. Ręce pełnymi gestami zaokrąglają słowa, oczy oderwały się od bruku, nogi stąpają po nim pewnie i lekko.

Jakże zmienił się Olsztyn, wczoraj niedowarzony niedorostek. Na przedprożu małego protestanckiego kościółka nie wysiadują już, niby posępne wrony, czarno odziane Niemki, kraczące ukradkiem i ukradkiem łypiące na przechodnia. Polski napis objaśnia o porządku nabożeństw dla polskich ewangelików. W bazie wypadowej zeszłorocznej włóczęgi, u wileńskich repatriantów, „parsłuczek" nie chrząka przez ścianę i gęś nie biwakuje w wannie. Dorobiły się chlewa i kojca. Nawet szczur, gad swojski, udający przez jakiś czas niewinną myszkę, rozkapryszony do przesady, padł ofiarą zaciekłej normalizacji stosunków. W miejscu, gdzie chrobotał ongi poszerzając w podłodze sień do swych apartamentów, bieli się tylko łata.

Jakże podrosło to miasto przez dni niewidzenia, jakże finezyjny rysownik — czas napracował się cieniując najdrobniejsze szczegóły. Jednego niedostaje tylko do pełnej radości. Ale brak ten niepokoi długo, nim zmieni się w świadomość. W śpiewnym gwarze ulic dalej nie słychać prawie „gadki" miejscowej, a w wartkim potoku przechodniów, zrzadka tylko, niby trzaska niesiona górskim prądem, przemyka tuziemcza postać. Tuziemcy nie wypłynęli na powierzchnię nowego życia, które w Olsztynie zdaje się pienić i rwać przed siebie, choć dla mieszkańca stolicy, czy rojnych Katowic, będzie to tylko nieudolna imitacja. W oczach majaczy jeszcze obraz wczorajszego dnia i tej leniwej strugi codzienności, szukającej po omacku pewnego łożyska...

Pod jednym względem niewiele się zmieniło. Przypuszczalnie i za niemieckich czasów były tu dwa miejsca, gdzie o każdej porze dnia wysłuchać można było słabe tętno olsztyńskiej polskości: dzisiejsza katedra św. Jana i proletariacki zachodni dworzec. Rankiem, gdy słońce przemocą przepycha się przez cieniste aleje w okolicy zamku, szczególnie przyjemnie szuka się żywych, rodzimych reliktów. W katedralnych ławach trwa już na modlitwie nieco pobożnych i tam najłatwiej poznać przedziwny urok ukradkowych zerknięć przez ramię zamodlonych staruszków i cichych pocałunków oczu z wytartymi kartami modlitewników brunsberskich. Tego roku prócz żywych „autochtonów" zbiła się w gromadę w jednej z bocznych naw kompania „dawnych" świętych, czekająca powrotu na ołtarze, na miejsca zajęte przez pseudogotycką szpetotę. Łatwo jednak dostrzec, że i ci „autochtoni" oddali pierwszeństwo w intronizacji. Z morza kwiatów, nad pochylonymi kornie głowami Wilnian, króluje już z ołtarza Ostrobramska Pani.

Na dworzec zachodni można iść stromymi uliczkami, przecinając zniszczone stare miasto. Piękniejsza jednak jest droga pod zamkiem, obok zieleńca z nowym pomnikiem Kopernika, opodal stromych łuków wiaduktu kolejowego, skąd fotografowie con amore polują na widoki zamkowe.

Co rano z kilku kierunków wtaczają się na perony dworca wypakowane pociągi i płaski, barakowaty budynek wyrzuca flegmatycznie ruszających się mężczyzn w roboczych kombinezonach, wysmolonych niemieckich mundurach, w nienawistnych czapkach wszelkiego rodzaju cywilnych i militarnych instytucji b. Rzeszy, lub schludnie odziane, równie powściągliwe w ruchach i mowie wiejskie kobiety.

Chłodne mrowie przemyka po sercu na widok tych ludzi. Zewnętrzny ich wygląd przypomina kogoś dobrze znanego, budzącego wszakże gwałtowny sprzeciw. Ileż pochopnych awersji wyzwoliło pierwsze zetknięcie z tym tłumem...

Koso, co najmniej chłodno, patrzą na wyciekający z zachodniego dworca tłum napływowi Polacy. A przez wszystkie niechęci, przecieka z ich wzroku oskarżenie i obelga: Te szwaby!

Tamci nie krzyżują spojrzeń. Stąpają spokojnie, jakby nawykli, zamknięci w sobie, sobą tylko zajęci. Rozmawiają. Półgłosem — bez ostentacji. Przez ramię, jak w katedrze, trzeba wysłuchać te rozmowy, które ciepłą falą wzruszenia zmywają osad pierwszego wrażenia. Ten tłum „móżi" po polsku — warmińską gwarą, budzącą pragnienie zagadania. Dlatego odruchowo próbuję wynaleźć kogoś, kogo by nurt ogólny nie unosił ku miastu.

Na najniższym stopniu dworcowych schodów przystanęła wiejska kobieta z koszykiem, przykrytym z wierzchu czarnym szalem i szuka kogoś w ciżbie. W pierwszym porywie ku niej kieruję kroki z nieobmyślonym zapytaniem, które ma wyzwolić zaklęty w milczenie dźwięk warmińskiej „gadki". Wolno, ale uprzejmie odwraca ku mnie głowę i zdziwione oczy, w chwili gdy uświadamiam sobie, że poniosły mnie sentymenty i nie mam z czym się zwrócić do kobiety władającej niewydartą przez wieki polszczyzną.

Najgłupsze z pytań o godzinę otwiera zamknięte usta. Czuję jego bezsens, bo równocześnie ze słowami oczy ponad głową warmiaczki padają na białą tarczę zegara.

— Bydzie poł osmy — brzmi odpowiedź i jej zaskoczone źrenice siadają obok mego spojrzenia na tarczy.

Ratuje mnie magiczne słowo „Gietrzwałd", klucz do serc i języków warmińskiego ludu.

— Chciałbym zdążyć na pociąg do Gietrzwałdu i... — nie potrzebuję już żadnych innych niepotrzebnych słów.

— To majom gwołt czasu. Pociąg jadzie o szczwiercz dzewionty. Jeno tyko do Szomfalda!

Potem — o czym sam doskonale wiem — musi się iść pięć kilometrów piechotą, a lepiej w ogóle nie wysiadać w Szomfałdzie, który dziś zwie się Unieszewo i jechać do Biesala, skąd jest bliżej.

Życzliwy uśmiech odprowadza mnie na odchodnym. Z każdym krokiem serce pęcznieje cichą radością, a jednocześnie ściska się żalem. Mowa warmiaczki zdawała się dźwięczeć w uszach strofami miejscowej piosenki, w które zawarty jest cały czar kraju o ciepłej nazwie, Warmia:

O Warnijo, o Warnijo
Ty ziamnio śwento moja,
Krsió mech przodków zlano,
Kendy spojrze, wszendo cudno,
Ty prześliczny raju,
Że nad ciebzie, jak Bóg mniły,
Nima w świecie kraju!

Tylko, że teraz padły na wzruszenie ironiczne spojrzenia ludzi, których ruchy są bardziej porywiste a mniej spokojne, gesty więcej zawadiackie. Czyżby ani w piosence ani w życiu nie zwietrzała dotąd prośba dalszych zwrotek:

O mój Jezu, mniły Jezu,
Dojże siły człeku,
By się na ty ziemni
Dorobziół lepszego zieku...

Od następnego dnia rozpoczyna się wędrówka po tropach braterskiej niezgody i rozwikływanie tragicznej zagadki pomieszania języków. W pierwszej naiwności, po zsumowaniu optymizmu, jakim napełnia życie Olsztyna, niewygasły żar polskiej tuziemczej „gadki" i zeszłorocznych wspomnień, robota wydaje się na tydzień. W rzeczywistości przewlecze się do końca wędrówki i nie będzie skończona. Każde z zniszczonych miasteczek, każda z ceglanych wsi do ostatka dorzucać będą drobne szczególiki tej wielkiej sprawy i zawsze czegoś braknie jeszcze do ogarnięcia całości, zawsze dorobek rozmów i autopsji będzie fragmentaryczny i przypadkowy. Będzie to smutna wędrówka za czerwoną nicią bezwładnej bierności jednych, zastraszającej automatyzacji sądów u drugich, niszczącej energii w utrzymaniu na stałe odruchów u jeszcze innych. Kwestia „autochtoniczna" oglądana od strony szarego człowieka, od tygla, w którym się rozżarza i formuje, wyda się zapuszczoną dżungią, przez którą nie prowadzi żaden obiektywizm — najmniej ludzi napływowych. Opinie jednej i drugiej strony będą jaskrawe jak jarmarczne szkiełka, zaostrzone uporem, porysowane nieuświadomioną złością, lub gorzkie gorycz niezagojonych ran. Szary tuziemiec, szary osadnik, szary przedstawiciel władzy zostaną zapytani o zdanie. Żadne nie będzie zgodne, chyba w jednym: uporze. Ostatni z urzędu poprobują znaleźć się w pośrodku sprzeczności, ale w ich wypowiedziach więcej napotka się reminiscencji oficjalnych kursów, niż zrozumienia, zwłaszcza pewnej „inkryminowanej" strony. Ze sprzeczności szary przedstawiciel władz wychodził będzie tylko przy pomocy swego „nieoficjalnego i prywatnego" przekonania, w którym rozpręża się wszystkie hamowane przy biurku urazy.

Urazy... Sięgają one głęboko. Aż do dziecięcych dusz. Tam dopiero dostrzega się ich niszczącą siłę i sposób, w jaki rozszerzają nikłą podstawę faktyczną i piętrzą trudności.

Po resztkach niborskiego (dziś nidzickiego) zamku oprowadza nas 12-letnia może dziewczynka spod Warszawy, rezolutny i świadom swego tułaczego doświadczenia szkrab. Jakże dalecy jesteśmy, by dziecko pytać o „autochtonów", patrząc przez wypalone okno zamkowe na ogryzki murów dawnego Niborka. Nie wiem, jak towarzysze, ja próbuję się cofnąć w czasy, gdy po raz ostatni przed drugą światową wojną żołnierz polski przez tę samą może okiennice patrzał na senne miasteczko. Bo zamek nidzicki jako maleńki fragmencik wpisał się na karty epopei napoleońskiej a przez to w itinerarium doli i niedoli legionistów Dąbrowskiego i Zajączka. Z takiej zadumy wyrywa mnie dziewczynka, próbując nadążyć za mymi myślami, a staranie jej dostrzegam nagle w chwili ocknienia:

— Po tej wojnie świat się strasznie pomieszał — stwierdza z rozbrajającą powagą.

Brzdąc posądza mnie o jeremiaszowy nastrój i przypuszcza, że biadam nad zniszczonym Niborkiem i radby przywołać mnie do rzeczywistości, w której nie ja jeden mam powód do bolesnych zamyśleń.

— Nam też kazali niedawno chodzić do szkoły razem z Niemcami — dodaje jakby bez sensu. Myśl przebija jednak przez słowa tułaczego dziecka. Słowo „Niemcy" trzeźwi rozmarzone głowy.

Okólnymi drogami rozpytujemy o nich, a dziecko z dojrzałością przeżytego człowieka odpowiada, nie przypuszczając, co podnieciło ciekawość smętnych turystów. Gdzie mowa o Niemcach na Pomorzu Mazowieckim, należy się wpierw dopytać nieznacznie treści tego określenia. I w tym wypadku „kwestia autochtoniczna" niczym oliwa dobywa się na powierzchnię. Mali Niemcy w szkole, do której uczęszcza podwarszawska dziewczynka, okazują się małymi Mazurami. Tylko mur obcości, wystawiony bezimienną ręką, każe ich zniesławiać najbardziej obcym mianem.

— Jakże ci Niemcy dają sobie radę z nauką w polskiej szkole? — pytamy z określonym celem.

— O, oni umieją mówić po polsku — wyjaśnia dziewczynka — tylko bardzo śmiesznie. Wyławiam iskierki jakiś zabawnych reminiscencji, wywołanych przypomnieniem mazurskiej polszczyzny. Wielebym dał, by poznać tajemnicę tego uśmieszku, bo...

Dlatego właśnie mała nie bawi się z mazurskimi rówieśnikami którzy przez jakiś czas boczyli się na szkołę i nie chcieli do niej uczęszczać. Co było tego powodem znów niesposób się dowiedzieć. Mała po prostu nie wie. Wie za to, jakie jest źródło świadomości, że Mazurzy to Niemcy:

— Wielu tak mówi! — stwierdza z przekonaniem.

Daremnie pytam potem w Nidzicy o adres Mazurki, który z własnej ochoty i podniety zajmuje się rozprowadzaniem kalendarzy Instytutu Mazurskiego. Starsze pokolenie przeważnie nie orientuje się nawet, jak ochrzczono sąsiednią ulicę, szczególnie gdy ta nosi jakieś niepolskie i nic niemówiące imę ks. Mrongowiusza. Jak na złość deszcz leje tego dnia i młodzież, nieoceniony cicerone po pomorsko-mazowieckich zaułkach, siedzi w domach. Brakuje przy poszukiwaniach jej żywiołowych zainteresowań topograficznych i dlatego nie możemy dotrzeć do Mazurki o niezwykłych tu skłonnościach. Zresztą może i lepiej, skoro nawet do małych Mazurów nie trafia się przez furtkę młodych, gorących serc, których odkrywczą ciekawość odwrócono od najszczytniejszego powołania: szukania w drugich najpierw braci — potem dopiero odmieńców.

W Watamborku za wozam
Lyzie baba z kiernozam,
Kiernóz jó zakójsiół w łud,
Baba móżi: das ist gut!

Tak przynajmniej powiada piosenka warmińska, ironizująca zniemczenie ludności miejskiej. Nie jest też dla mnie niespodzianką, że w dzisiejszym Barczewie, wczorajszym „Watamborku", z nad barokowego szczytu kościoła pobernardyńskiego dolatuje gwar niemieckich rozmów. „Nowy" Wartembork — miasto — nigdy nie uchodził za siedlisko polskości, w przeciwieństwie do „starego" — wsi — oraz wieńca otaczających go sztandarowo polskich osad, jak Lamkowo, Ramsowo, Bartołty czy Dywity. To one — nie Wartembork-miasto — świeciły przykładem hojności na cele narodowe z rubryk ofiarnych prasy warmińskiej. Niechże więc i chłop, nie tylko baba wartemborska „móżi: das ist gut", odnawiając dawną polską budowlę, w której kardynał Andrzej Batory za życia wystawił sobie nagrobek, najpiękniejsze na całe Prusy dzieło renesansu. Byleby tylko była to taka sama konieczność, jak u tego starego Warmiaka, co to zagadnięty oderwał się od roboty i pokraśniał, mogąc w łamanej polszczyźnie objaśnić drogę do „kościelnika".

Rychło głęboki cień pada na tę skwapliwą tolerancję. W dzisiejszym Barczewie po raz pierwszy dotykam ropiejącego wrzodu: szereg niemówiących dość biegle po polsku tuziemców, do dziś nie uregulował swego oficjalnego stosunku do polskości, co gorsza, określił go negatywnie. Są tacy między tymi Niemcami z języka, którzy zadeklarowali się już jako Polacy, a potem odstąpili. Tego nie jest w stanie zasłonić nawet stary uradowany Warmiak

Do Barczewa ze stacji idzie się jakiś czas przez pola. W onych sielskich czasach, kiedy dymiący moloch kolei żelaznej z nakazu władz wtargnął w życie pruskiej prowincji, ojcowie miasta zgodzili się na niemiłe sąsiedztwo tylko pod jednym warunkiem: że kolej będzie kopciła jak najdalej od Wartemborka.

— Przynajmniej zarobią na tym dorożkarze i będzie jakaś korzyść z tego wynalazku — brzmiała najbardziej rzeczowa z wypowiedzi na radzie miejskiej.

Dzięki temu przed Barczewem przybysz, idący z dworca, ma sposobność zauważenia komicznego stracha na wróble, pilnującego pól. W ażurowym stroju, w hełmie niemieckim na głowie, straszydło robi niespodziewane wrażenie i prosi się o zdjęcie.

Gdy słońce przekomarza się z fotografem, wypada nie raz obejść obiekt od przodu i tyłu, aż odpowiednie ujęcie nadrobi niedostatek światła. Tak też było i w moim wypadku. Zostawiając w przydrożnym rowie towarzyszy puściłem się przez ściernie ku dziwadłu i nie raz obtańcowałem go dokoła, nim znalazł się na filmie. Ani mi w głowie było, że budzę podejrzenia.

— Tylko czekać milicji, która nas wszystkich zapakuje do kozy — przywitali mnie ponuro towarzysze.

Jak się okazało zainteresowanie tak osobliwym, jak strach polny, obiektem rzuciło na moje intencje cień w rozumieniu napływowej ludności, dla której „znów któryś z tych Niemców" szwędał się po polach.

Barczewo nie objaśniło, czy objaw tak wybujałej podejrzliwości był jakąś konsekwencją wypadków, czy chorobą. rzuciło jednak światło na głębokość podziałów między „autochtonami" a napływowymi. Ci pierwsi posądzani są o zdolność do zakapturzonych podstępów i knowań i nie wiadomo, co jest przyczyną, a co skutkiem tego, że Warmiacy w Barczewie, a także i gdzie indziej, nie mogą znaleźć z napływowymi Polakami takiego modus vivendi, jaki możliwy jest między nimi a niedobitkami prawdziwych Niemców. Słusznie napisał nie tak dawno K. Koźniewski w swych głośnych wrażeniach mazurskich w „Przekroju", że nie należy lekceważyć głosów osadniczych i oskarżeń przeciw tzw. autochtonom: są one jak drogowskaz bez napisu, wskazujący dwa przeciwne kierunki. A właściwie warto by wiedzieć, dokąd strzałki prowadzą.

Przypuszczam, że istnieje na terenie Pomorza Mazowieckiego więcej niż dziesięciu sprawiedliwych, którym by można zaufać, że polskość ich nie jest koniunkturą ani mistyfikacją, zwłaszcza gdy dla bezpieczeństwa, wybór obejmie pospołu żyjących i przemawiających zza grobu. Z tych ostatnich wymieniłbym Michała Kajkę, tragicznego poetę Pruskiego Mazowsza i byłbym skłonny sądzić, że polskość jego dzieci winna mieć przez to wystarczającą rekomendację. Z przykrością przytaczam nazwiska w swych reportażowych relacjach, tym razem trudno mi będzie uniknąć takiego udokumentowania, bo idzie o naświetlenie, małym promykiem jednego przypadku, odruchowości i beztroski osadniczych nastawień.

Kajkowego syna szukam na budowie w Mrągowie. Poszedł śladami ojca i trudni się murarką. Nie powinno być trudno znaleźć syna poety pośród kilkunastu robotników, wykończających odnowiony dom. A przecież nie mogę się o niego dopytać.

— To pewnie nikt z Polaków — powątpiewa z kolei zapytany robotnik. Jest jednak uczynny i rozpytuje wśród kolegów.

— E, to pewnie ten Mazur! — wpada ktoś na właściwy trop i z pobłażliwą ironią udziela wyjaśnień.

Mam takie wrażenie, że jestem nie pierwszym dziwakiem, który bałamuci się z „tym Mazurem". Ludzie odchodzą do roboty, nie nawiązując do mego dziwactwa. Nie są ciekawi jego genezy, idę więc szukać syna Michała Kajki, który w Polsce jest tylko „tym Mazurem" i „nikim z Polaków".

Obszernie wyłuszcza mi za to swe poglądy urzędnik PUR-u w jednym z miast powiatowych.

— Jeśli chce pan słyszeć moje prywatne zdanie — kończy wywody — uważam, że Mazurami nie ma co zawracać sobie głowy. Niech pan popatrzy na tę sprawę po prostu, bez literackiego nastawienia. Ci ludzie przeszli niemiecką szkołę myślenia i trzeba by się dobrze napracować — z niewiadomym wynikiem — by zaczęli myśleć po polsku — tak jak my!

W akcencie położonym na ostatnim „tak jak my", akcencie buńczucznym, wyrażone jest wszystko wraz z uwielbieniem dla Samosierry i Monte Casino, zamiłowaniem do romantycznego frazesu i lekkomyślnością w realiach i całym ładunkiem imponderabiliów uczuciowych, jaki tylko da się zmieścić w trzech krótkich słowach.

— Wątpię, by ktoś tego potrafił dokonać i wątpię czy warto się nawet brać do tego.

Coś mi nareszcie zaczyna świtać w głowie. Czuję wreszcie jakiś punkt zaczepienia, gdy idzie o psychologiczną stronę zagadnienia „autochtonicznego". Ten conajmniej pół-inteligent nie widzi nic wartego zatrzymania, nic godnego uznania i rozwinięcia w człowieku, którego zwie Mazurem. Nie widzi w nim ani tego, co uważa za swe zalety, ani tego, w czym nie dostrzega własnych wad. Nie widzi zadatków... Mimo woli przypomina mi się fragment przedmowy Artura Górskiego do wspomnień plebiscytowych Anny Łubieńskiej, stanowiących dla realisty porachunek z naszą lekkomyślnością i tandetnością myślenia w sprawie pruskiej — podówczas — polskości.

„W takich typach wszystko stanowi organiczną całość, praca dnia, dyscyplina obyczajowa, umiar w swych prawach, wiedza współżycia z ludźmi i z naturą, ogrom doświadczeń politycznych zdobytych przy tworzeniu publicznych wartości, samodzielność i poleganie na sobie, wszystko to razem zbudowało tę jednolitość życia wewnętrznego, opartego od wieków na wielkich kanonach. Każda też wartość moralna, zbudowana w naturach tego typu, posiada korzenie głęboko zapuszczone, które jej zachwiać nie pozwolą. Żadnego śladu powierzchowności, niepewności, tandety".

Wiele idealizacji A. Górskiego trzeba starannie oddzielić od obiektywnych spostrzeżeń, a wtedy niesposób będzie nie uznać trafności jego poglądów na psyche Polaka pomorsko-mazowieckiego. Nie dziwię się też urzędnikowi PUR-u, że nie widzi wielkich szans pracy w budowaniu świadomości polskiej poza wrodzonymi dyspozycjami psychicznymi i mentalnością tuziemców. Czyż jednak w jego rozumowaniu aż nadto nie jest widoczny błąd, ukryty we wszystkich przeciętnych sądach ludzi napływowych, zarówno jednostek dodatnich, jak ujemnych społecznie, że warunkiem porozumienia między przybyszami a tuziemcami jest odebranie tym ostatnim odrębności, nabytej w wiekowych zmaganiach, kiedy to ta odrębność stawała skutecznie w poprzek — na odmianę — germanizacji.

Nie upieram się przy słuszności tej obserwacji, ale postanowiłem patrzeć na tzw. kwestię autochtoniczną od strony naszych, nie tylko niemieckich przyczyn, choćby dla uczulonego megalomana narodowego mogło się to wydać gorszące. Niestety my Polacy mamy zdawna niezbyt chwalebną skłonność do zamazywania, nie naprawiania popełnionych przewinień, stąd warto i pod takim kątem spojrzeć na pewne zagadnienia.

Ze strony szlachetnych, trzeba przyznać, jednostek obserwuje się ostatnio wysiłki, by położyć kres rozdźwiękom wśród polskości Ziem Odzyskanych i ułatwić zespolenie dwóch jej odłamów: przybyłego i tuziemczego. Ale jakże te usiłowania obciążane są balastem nieporozumień. Spotykałem się z gorzkim rozczarowaniem zapalonych idealistów, którzy do godzenia obu stron przystąpili wedle staropolskiej recepty: „kochajmy się!".

(Dokończenie na stronie 2)

PAUL ELUARD

Przekład Jerzego Zagórskiego

To ona

(C'est elle)

Na tej gwieździe trawnika to ona
To ona w tym domu pustym
To ona w tej ciemnej ulicy
To ona na tym pomniku
To ona wśród tych dzikusów
To ona w tym sercu niegodnym
To ona tam na śniegu

Zawsze za murem
Jak w głębi wąwozu.

Dar

(Le don)

Ona jest pestką w fidze myśli
Ona jest pełnym słońcem pod zamkniętymi powiekami
I ciepłem wspaniałym w moich wyciągniętych rękach
Ona jest ciemną dziewczyną i jej krew zatacza koło
Wśród nocy ognia dojrzałego.

Lektura

(Lecture)

W środku Paryża
Marzyła skromność

Bukiet nieba bez chmur
W wazie czarnych domów

Kiedy ona czasu nie ma
Staje się jeszcze piękniejsza

Jej się nie skończy uczyć
Niebo zamyka okno
Słońce kryje podłogę.

Wiersze z tomu „Les Mains libres" 1947, Paris Sallimard

Otton Swoboda

Śląsk (linoryt)

Śląsk (linoryt)

Co robią Niemcy

Atak Sturmfuehrera Heinricha Anackera na niemiecki front literacki — Wdzięczny świat

Kto 30 listopada 1947 w godzinach wieczornych słuchał radia szwajcarskiego z Bazylei i zachęcony tytułem audycji poetyckiej „O złotym nadmiarze" postanowił zapoznać się z nowymi wierszami, ten był świadkiem niemałej sensacji. Oto radio szwajcarskie przedstawiło „dwóch niemieckich autorów", Rudolfa Paulsena i Heinricha Anackera. O tego drugiego chodzi nam głównie, o Sturmfuehrera Anackera, piewcę SA, „liryka hitlerowskiego frontu", laureata nagrody NSDAP. Anacker, pierwszy poeta — powiadają o nim historycy hitlerowskiej literatury — który świadomie realizował w poezji zadania, przekazywane mu w grupie szturmowej. „On zdobył dla sztuki świat narodowo-socjalistycznej walki, on postawił sztukę w służbę walki".

Anacker był jeszcze szwajcarskim autorem, gdy wydawał maleńką książeczkę poetycką „Dzwoń, wiosenna pieśni mała". Ale w roku 1922, kiedy po raz pierwszy wolno mu było „spojrzeć w oczy nieznanemu jeszcze wówczas skromnemu człowiekowi z ludu, Adolfowi Hitlerowi", zrezygnował z obywatelstwa szwajcarskiego. Podczas gdy „Fuehrer" odsiadywał karę twierdzy w Landsbergu, młody jego szwajcarski zwolennik dotrzymywał mu wierności, głosząc w zurychskich kołach studenckich antysemityzm i tysiącletni Reich. Później zaś opuścił Szwajcarię, by przez Austrię dostać się do Niemiec. Poezja jego była długie lata jedynym wyrazem artystycznym narodowo-socjalistycznej walki, tom wierszy o SA „Werbel" rozpowszechniany był przez brązowe szturmówki w setkach tysięcy egzemplarzy jeszcze przed rewolucją hitlerowską a kto pamięta hitlerowskie wiece, ten wie, że wiersze te umiały porywać słuchaczy. Zamieszczone w tomie „Fanfara" wiersze niemieckiej przemiany wypełniały życiem takie symbole ruchu hitlerowskiego jak proporce i chorągwie, swastykę i brązowe koszule. Dzięki Anackerowi hitleryzm zdobywał miejsce w literaturze, miejsce wyidealizowane i zwycięskie. Warto na tym miejscu przypomnieć, jak przyjmowano Anackera na organizowanych przez „SA-Standarty" wieczorach literackich.

Sturmfuehrer Heinrich Anacker! Kto spośród tysięcy, maszerujących równym krokiem dla Fuehrera, nie zna tego nazwiska! Któż nie powtarzał z radością jego wierszy o walce i wolności! Zapytajcie szturmowca z Hitlerjugend, zasłużonego w walce SA-Manna, doświadczonego w potyczkach towarzysza partyjnego! Wszyscy oni potwierdzą, że pieśni Anackera porywają, gdyż narodziły się z przeżycia walki" (Cottbuser Anzeiger, 9. 2. 1937). Świat umie być wdzięczny. We wrześniu 1936 na wielkim partetagu w Norymberdze wręczono Anackerowi, werbliście Fuehrera, nagrodę NSDAP, przeznaczoną dla najbardziej zasłużonych na polu sztuki i nauki. W miesiąc później zaś podczas dożynek na Bueckebergu stutysięczna rzesza hitlerowska recytowała Anackera „Hymn o ziemi niemieckiej".

Świat umie być wdzięczny. W przeciwnym wypadku radio bazylejskie nie przypominałoby człowieka, który portret Hitlera takimi rysował słowami: „Takim widzi go świat: uzbrojony w spiż, z ręką na mieczu

Scena z nowego filmu niemieckiego, nakręcanego we Frankfurcie n. M.

ostrym. — My jednak znamy jego serce dobre pod płaszczem stalowej surowości!". Świat umie być wdzięczny. W przeciwnym razie odstawionoby Anackera szupasem do niemieckiej granicy, by oddać go pod sąd narodów jako winnego zbrodni podburzania narodu niemieckiego do walki z Żydami, Polakami, zbrodni nakłaniania do wstępowania w szeregi organizacji, uznanych w Norymberdze za zbrodnicze. Ale dlaczegóż przynajmniej audycji bazylejskiej zamiast „O złotym nadmiarze" nie nazwano „O brunatnym nadmiarze"?

Żarty na bok, sprawa nie jest wesoła. Czołowy poeta hitlerowski, politycznie najbardziej niebezpieczny z wszystkich innych, jest na wolności, a nawet korzysta z reklamy radiostacji neutralnego państwa. Być może, że Anacker wróci do Niemiec. W Bizonii z pewnością nie czeka go żadna kara tak jak przebaczono innemu hitlerowskiemu bardowi, także poecie SA, Gerhartowi Schumannowi, pozwalając mu drukować w powojennych pismach niemieckich. Tak jak przebaczono Kolbenheyerowi, najzdolniejszemu z nich wszystkich, zapraszając go na zjazd laureatów nagrody im. Goethego, przyznawanej przez Frankfurt nad Menem; Kolbenheyer spotka się tam z innym laureatem tejże nagrody Hermannem Hessem, faszysta wejdzie między antyfaszystów jako literacki brat. Jak przebaczono Glaeserowi, Jüngerowi, Blunckowi, jak zamierza się przebaczyć Dwingerowi, oczekującemu rozprawy denazyfikacyjnej. Jak przebaczono we wschodnich Niemczech zmarłym już Hauptmannowi i Falladzie i żyjącym Scholtisowi i Bergengruenowi.

Może kompozytor melodii trzeciego po Deutschland, Deutschland i Horst-Wessel-Lied hymnu narodowego w czasie minionej wojny, antyangielskiej pieśni „Denn wir fahren gegen Engelland", odpoczywać w darowanym mu przez amerykańskie władze domku z ogródkiem w zamian za komponowanie marszów dla jednostek amerykańskich, mogą liczni poeci nazistowscy wydawać książki, urządzać wieczory literackie i pisać sztuki teatralne, może również i Anacker chodzić wolną stopą po ziemi, pisać, zbierać hołdy, a może i nowe nagrody. W kręgu niemieckim wszystko jest możliwe. Rozwój spraw niemieckich, zwłaszcza na zachodzie Niemiec, dopuścił wszystkie te możliwości. Nie należy się już niczemu dziwić. Polityka zjednywania sobie Niemców nie może pominąć pisarzy. Pisarze nazistowscy skwapliwie korzystają z konjunktury, o której niewiadomo, jak długo potrwa. Dla nas jednak staje się rzeczą jasną, że obraz literatury niemieckiej nie wiele tylko się zmienił, że stanowić będą o nim te same nazwiska, pomnożone o garstkę nazwisk emigracyjnych.

Wiara w egzekutywę narodów na terenie niemieckim dawno już przestała istnieć. Nikt nie może ani nie stara się przeszkodzić temu, że na terenie Bizonii rodzą się nowi poeci, poeci tzw. czarnej Reichswehry, w niczym nie ustępujący Anackerom, wyposażeni w taki sam bogaty ładunek wiary, tupetu i prorokowości. Oto próbki nowej poezji niemieckiej, publikowanej na łamach pism całych Niemiec:

Inny wiersz:

„Przeciwko chmurom wrogim, idącym od ziemi i nieba (przeciwko ludziom, papierom i białym żołnierskim getrom walczymy o połączenie wszystkich Niemców), którym swoboda miła i wiara droższa od chleba".

Hasłem powtarzającym się w wierszach tych, hasłem zespalającym jest — razem. Tak to pojęcie owo, bronione przez polityków międzynarodowych jako program prawdziwych antyfaszystowskich Niemiec, w ustach nowych poetów niemieckich przeżuwane bywa z radością jak owoc nowej zbrodni. Stąd nauka, że pewne pojęcia polityczne należy w Niemczech realizować bez Niemców lub wbrew nim. WISZ

Cienie nad ugorem

(Dokończenie ze strony 1)

Jest efekt najszczerszych jednorazowych zwykle, prób, które illo tempore świetnie popłacały na sejmikach, a i dziś praktykowane są w głębi kraju — przy kieliszku. **Tzw. autochtoni nie rozumieją nagłych przejść od nienawiści do miłości, od gróźb do obietnic, dawanych na słowo w radosnym podnieceniu, wbrew niedawnym czynom, dokonywanym również w podnieceniu i zajadłości.** Znawcy problemu od dawna dostrzegali przed spłycaniem zagadnienia wówczas wschodnio-pruskiego. Pa nauczce plebiscytowej St. Srokowski tak pisał w tej sprawie:

„Robota zmierzająca do uzgodnienia dążeń Prus Wschodnich z interesami polskimi, winna być atoli ujęta w system, a przy tym wykonywana z niezłomną, choćby wieki trwającą, stanowczością i wytrwałością".

Myśl ta nie została do tej chwili przyswojona społeczeństwu z centralnej Polski. Wiedząc piąte przez dziesiąte o polskości Pomorza Mazowieckiego, wyobrażało sobie ono, w swej najwartościowszej części, połączenie z nią jako spontaniczną, samorzutną i beztroską manifestację uczuć. Doznany zawód plus horrenda, przez nikogo nie przewidziane, zaważyły niemało na tym, że sprawa „autochtoniczna" przybrała dzisiejszy obrót. Obawiam się, że z pewnymi wariantami postronny a obiektywny obserwator mógłby powtórzyć dziś to samo, co Annie Łubieńskiej wypalił przyjaciel Polski, kapitan kanadyjski z misji międzyalianckiej, na marginesie naszych plebiscytowych usiłowań:

„Osobiście życzę wam zwycięstwa, ale to zwycięstwo musicie sobie sami wywalczyć. Dlaczego tak nieliczni stanęliście do tej decydującej walki. Osób, któreby tak samo jak pani, szerzyły propagandę wśród mało uświadomionej ludności, powinny być tysiące!".

A na wiecznie te same wykręty, pokrywające bierność i lenistwo duchowe do brania się za łeb z niewygodnymi problemami, możnaby też usłyszeć odpowiedź, która — z trawestacjami — nie straciła na aktualności:

„Jeśli sprawa tak się przedstawia... jeśli na odzyskanie waszych ziem północnych, tylko jedna kobieta w Polsce miała czas, a druga trochę pieniędzy.... nie trzeba było warunków plebiscytu przyjmować... Sposób, w jaki zabraliście się do roboty, nie przyniósł wam żadnych korzyści".

Istotnie sposób, w jaki zabraliśmy się — nie rząd, który jest wygodnym celem dla wszelkich pretensji, ale społeczeństwo — budzi poważne zastrzeżenia.

Z relacji napływowych tuziemiec wyłania się w dość antypatycznej postaci. Przesadnie zapobiegliwy, chciwy, chytry i podstępny, zamknięty hermetycznie w ramach swej grupy regionalnej — w dodatku ukryty Niemiec, w odmianach: Polaka „majowego", albo zgoła „szwaba".

Istotnie, gdy się patrzy przez nałożone okulary, gdy się waży wszystkie argumenty rozumowe, mogłoby tak być. Mimo to warto wglądnąć w te oskarżenia, bo jakoś nigdy nie grzeszyliśmy ostrością spojrzenia w stosunku do Pomorza Mazowieckiego. Rarogiem był i to nie tylko w roku 1844, imć August Maksymilian Grabowski, który zauważył i to, że

„kobiety szczególniej przyjęły tam strój niemiecki, kazda jezeli nie przemówi będzie niezawodnie przez Polaka nazwana Szwabką... — i że — mężczyźni po wierzchu są także Niemcami..."

a zwłaszcza to, że

„Jest w Europie kraj niezbyt szczęśliwy, przez część swych synów, w łapciach chodzących, Prusy... nazwany... rozciąga się on cały pod łagodnym niebem Europy i wierzcie mi Polacy, wierzcie mi Słowianie, ma on byt rzeczywisty, nie urojony".

Dziś tylko fragment zagadnienia ma byt, o którym nie wiadomo, czy rzeczywistym jest czy urojonym, tak jak go widzi przeciętny szary człowiek, zadający sobie pytanie:

Warto, czy nie warto zawracać sobie głowę Mazurami?

Stefan Sulima

Słowniki polsko-czeskie

Sprawą przykrą i brakiem bardzo dotkliwym jest fakt, że nie mamy jeszcze powojennego wydania słownika polsko-czeskiego i czesko-polskiego. Nasz dorobek na tym polu jest w ogóle bardzo mizerny, ale nawet słowniki wydane przed wojną są dzisiaj niemal nieosiągalne i stanowią antykwaryczną rzadkość. Tymczasem Czesi wyprzedzili nas jak zwykle. W ostatnich dniach księgarnie w Czechosłowacji wprowadziły do sprzedaży już dwa słowniki polsko-czeskie.

Jeden z nich to *kieszonkowy słownik polsko-czeski i czesko-polski* opracowany przez *dra Józefa Beczkę*, wydany przez *Wydawnictwo Kvasniczka i Hampl w Pradze*. Jest to naprawdę słownik kieszonkowy małego formatu obejmujący na 333 stronach w każdym dziale po około 10.000 słów. Opracowany jest bardzo zwięźle i obliczony na popularne użycie. Daje wybór słów najpotrzebniejszych i notuje tylko podstawowe znaczenia. Znajdzie zastosowanie zarówno w podróży jak i przy początkach nauki języka czeskiego czy polskiego. Niska cena ułatwi jego rozpowszechnienie (50 koron czeskich). Korzystający z niego Polak bez trudności skoryguje sobie wobec dużego podobieństwa wielu wyrazów niektóre nieliczne pomyłki autora.

Znacznie obszerniejszy i na innych założeniach oparty jest wielki *słownik polsko-czeski dra Bohumila Vydry*, opublikowany przez *Ceská Grafická Unie A. S. w Pradze*. Słownik ten obejmuje około 50.000 słów na blisko 800 stronach druku. Uzupełnia go wykaz słów powstałych i weszłych w użycie w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie, gdzie doczekały się utrwalenia obok takich słów jak „akowiec", „alowiec", „Jędrusie" również i takie terminy jak „bimber", „szaber", „góral" itp. Słownik zamyka bardzo zwięzły skrót gramatyki języka polskiego. Słownik ten wychodzi w piętnaście lat od chwili, gdy autor rozpoczął nad nim swą pracę. W pierwotnej swej formie oddany został do druku w roku 1937. Gdy przyszedł protektorat, skład był już gotowy, lecz nie było naturalnie mowy o druku. Skład jednak został przechowany w ukryciu i obecnie wykorzystany po uzupełnieniu treści słownika przez autora. Słownik opracowany jest świetną, nowoczesną metodą naukową, podaje wiele znaczeń i odmian poszczególnych słów oraz liczne formy gramatyczne zwłaszcza odbiegające od norm podstawowych gramatyki polskiej. Autor przestudiował bogaty materiał, który pomnożył własnymi studiami. O wartości słownika świadczy jeszcze fakt szerokiego uwzględnienia terminologii technicznej, gospodarczej, kupieckiej, wojskowej i sportowej. Autor postawił sobie za cel ogarnięcia całego leksykalnego bogactwa języka polskiego i cel ten osiągnął w sposób godzien wysokiego uznania a z naszej strony głębokiej wdzięczności. Życzyć by sobie należało, by jak najprędzej ukazała się druga, zapowiedziana już część tego słownika, czesko-polska.

Česká Grafická Unie jest wydawcą specjalnej serii słowników języków słowiańskich. Po wojnie ukazał się w tej serii jako jej pierwszy tom w drugim wydaniu słownik rosyjsko-czeski dra V. Kopeckého. Słownik polsko-czeski Vydry jest drugim ogniwem serii, której redaktorem jest prof. dr Bohuslav Havránek. Miejmy nadzieję, że i u nas któreś z wielkich wydawnictw podejmie podobne wydawnictwo seryjne. Szkoda, że dotychczas o tym nie pomyślano, gdyż tego rodzaju wydawnictwo obliczone być musi na długi okres czasu.

Przypuszczać należy, że obydwa omówione powyżej słowniki znajdą się również na rynku polskim, wypełniając istniejący w tej dziedzinie brak. Jest to konieczne tym więcej, że na taki słownik, jakim jest praca dra B. Vydry, nie prędko się chyba zdobędziemy. (zh)

WITOLD JAKÓBCZYK

Listy śląskie w Kórniku

Droga dzieci proletariackich do oświaty była zawsze trudna w ustroju kapitalistycznym. Ale trudności potęgowały się wielokrotnie, gdy kapitalistą był Niemiec, a dzieckiem proletariackim — Polak. Dzisiejsza młoda generacja nie docenia faktu polskiej szkoły, bo jest ona dla niej czymś tak naturalnym, jak powietrze, którym oddycha. Ale los dzieci śląskich przed 100 laty był wręcz tragiczny, jeśli mowa o szkole. Bo pruska szkoła germanizowała je wytrwale i stwarzała dla młodzieży możliwości awansu społecznego tylko pod warunkiem całkowitego wejścia w krąg kultury niemieckiej.

W tych warunkach wszelkie usiłowania zachowania ducha narodowego, usymbolizowanego przede wszystkim w języku polskim, były zjawiskiem nieczęstym. W duszach jednostek odbywały się te procesy przechowywania kultury polskiej, a niektóre z nich zdobywały się na piękną akcję promieniowania na innych i wciągania ich w jej krąg.

Oto jeden z owych nieznanych dotąd wybranych, młody biuralista w hucie Minerwa w Zawadzkiem na Górnym Śląsku, Juliusz Szaflik, zawdzięczający zapewne **Przyjacielowi Ludu** (pod redakcją Ign. Danielewskiego wychodzącemu w Chełmnie) swe umocnienie w polskości. W trosce o utrzymanie w duchu polskim swych braci i sióstr ciotecznych w Laura-Hucie (Siemianowice) posyłał im pieniądze na czasopisma polskie i książki. Ale co najbardziej godne podziwu — to energiczna akcja tego self-made-man'a w kierunku kształcenia swego brata stryjecznego: Wilhelma Szaflika. Ojciec jego Teofil, skromny dozorca hutniczy (stryj Juliusza) nie był skłonny — boć nie stać go było na to — posyłać Wilhelma do gimnazjum. A chłopak palił się do nauki — zwłaszcza języków obcych. Juliusz musiał najpierw pokonać opory psychiczne swych stryjostwa, następnie uroczyście przyrzekł swą pomoc finansową. Dotrzymał słowa i Wilhelm poszedł do gimnazjum w Gliwicach. W tych sprawach rodzinnych toczyła się między Zawadzkiem — miejscem pracy Juliusza — a Laura-Hutą, korespondencja w latach 1866-70. W 1868 r. Juliusz założył z pomocą Bolesława Prawdzic-Chotomskiego (z Pomorza) w Zawadzkiem pierwsze na Śląsku Tow. Pożyczkowe, niebawem rozbudowane do rozmiarów spółdzielni typu konsum. O poparcie budowy domu tej spółdzielni zwracał się do działaczy poznańskich i pomorskich: Ignacego i Mieczysława Łyskowskich, Ignacego Danielewskiego, Bolesława Prawdzic-Chotomskiego, Rakowicza i Jana Działyńskiego z Kórnika. A na dowód swej troski o kulturę polską na Śląsku załączył zbiór wspomnianych listów swej rodziny i swoich. W ten sposób dostały się one do zbiorów kórnickich, szczęśliwie przetrwały zawieruchę dziejową i wreszcie w czasie poszukiwań podpisanego w kórnickich zbiorach zostały odnalezione. Jest ich około 40 w fascykule bez tytułu, w obwolucie nr 74. Listy Wilhelma Szaflika są częściowo pisane po niemiecku, a to w okresie jego pobytu w gimnazjum w Gliwicach.

Oto fragmenty owej korespondencji rodziny hutników śląskich sprzed 80 laty:

Juliusz Szaflik do Stryjostwa 5. I. 1866 r.

Na wstępie składa serdeczne życzenia noworoczne, a z kolei omawia swą propozycję:

„...Co mnie najbardziej spowodowało do pisania wam Wujaszku i wam Wujenko jest to co następuje: — Wiem że macie tam na Laurahucie dobrych Nauczycieli a co najważniejsza i takiego co uczy cudzych mowów jak naprzykład po łacinie i po francusku i znam także waszego młodszego syna Wilhelma, mego Bratrańca i doświadczyłem się gdych u was przebywałem, że wnim są talenta ukryte, jakóż inaczej, tylko że was chcę namówić, żebyście mu dali sposób do rozwinięcia czyli rozkrzewienia się tychże talentów. Dajcie go więc najprzód przygotowywać u waszego Rektora a potem może zrobić examen razem do trzeciej klasy, to jest do Quarty na Gimnazyj. Niechcę ja go, Boże zachowaj, namówić za Księdza, na co by też Wujenka na żaden sposób nie dozwolyli... Więc proszę was kochany Wujaszku i kochana Wujenko idźcie do waszego Rektora i pomówcie się znim a on isto pochwali waszą rzecz. Tak by mogł brać godziny te raz razem od nowego roku a za półtora roku by mógł iść do Gliwitz na Gimnazyją i zrobić examen do trzeciej klasy, tam by mógł sztudować ze trzy lata albo i dłużej a potem by mógł na przykład iść do hutnego fachu, albo i na poczta albo i na Gericht a mógł by się dostać do dobrej służby; tak jak i ja mogę być raz szczęśliwy, teraz jeszczech jest praktikantem a jednak dostawam 10 talarów na miesiąc a latoś mam nadzieje na miejsce, któreby mi więcej jak 30 talarów każdy miesiąc przyniosło, a coraz to wyżej aże zostanem wielkim panem. Nie jest to moja chluba, tylko was chcę zachęcić, żebyście dali waszego Wilhelma na godziny do waszego Rektora a potem na Gimnazyją, ja wam będę z chęcią pomagał jak piniądzmi tak też i radą, tylko go dajcie na te godziny czemprędzej, bo czas jest drogi a bardzo drogi... Szkoda, wielka szkoda by była jakby nie miał sztudować, bo ja wiem, że on ma wielką chęć do nauki, gdym był ostatni raz u was toch go nauczył parę greckich słów wymawiać, a jak mi też to za to razem dziękował i już wtedy pomyślałem sobie: szkoda gdyby nie miał iść do szkół kiedy ma taką chęć do nauki..."

Wujaszkowie przyjęli chętnie — choć zapewne po długich deliberacjach — tę radę. Dowiedziawszy się o tym, Juliusz pisze m. in. 12. IV. 1867 r.:

„...a co mię jeszcze bardziej cieszy, to jest żeście przecię sobie przedsięwzieni, aby tego jednego dać uczyć, boć prawdą, to jest najlepsza herbowizna, którą Rodzice dziecią dać mogą, gdy ich dają do nauki, bo to jest skarb, którego, jak to mówią, ani ogień ani woda nie zabiere. Już ja wiem do jakiej nauki on ma ochotę i pomówimy o tem dobrze, jak tam na Wielkanoc przydę..."

Na nalegania Juliusza napisał Wilhelm pierwszy list po polsku:

Laurahutta dnia 25 Października 1867.

Niech będzie pochwalóny Jezus Christus

Kochany Bratrańcu.

Odważam się do polskigo listu chociarz jeszcze niewiem jezeli go juz napisać poradzem bo te twoje napominania do polski nauki mi niedają pokój ze bych to zaniedbał i nie uczył się; ony mi zawsze przed oczami lezą i tak mi się pokazują choć by mi to chciały powiedzieć, ze mi to potrzeba zebych się to uczył toz Ci ten list na to po polsku piszę zebyś wiedział wielech się już nauczył.

Najprzód Ci dziękujem za te książki, któreś mi posłał, bo ony mię teraz jeszcze bardzij do nauki zachęcają ale niedziękuja ja Ci sam za nie, bo Ci wszyscy za nie dziękujemy i za te piniądze któres nam na ten polski cajtung posłał, ktorego nam poczciarz zaraz napisał a nic niepowiedział, bo tu go można niebroniom czytować a juz my z niem dostali 3, to jest: pierwszy raz 2 a drugi raz 1.

Kochany Bracie, pytasz mie sie jezeli chęć mą do francuski nauki o to możes wiedziec jaka chęć ja mą do tei czaty rzeczy, bo choćby mię nić na świecie nie rozweselyło gdy bych wjakim smutku był, to mię te książki rozweselą a i to mozes wiedzieć że ich szanować beda bo kazde książki ktore jednego w jaki sprawie objaśniają są tego wart. O moj najmielszy Bracie, mozes mi wierzec, jaki smutek w mię panował, gdy o nicem w domie słychać nie było, jako te rzeczy: cyby mie dać do gymnazyi, albo niedać, do ktory jeszcze bardzij nierzeczliwe ludzi matuchy zburzyły zeby mie na gymnazyjo nie dali ale już to teraz nic nieszkodzi, bo toto już wszystko bez te twoje przibyć u nas zrechtował i sporządzeł. Było by to bardzo niepięknie od mię gdy bych ci za taka wielka dobróć ani podziękować nie miał. Jeszcze Ci o jedny rzeczy piszem to jest ta: Te pomieszkania o ktore me prosieli me niedostali, bo ich na te pomieszkanie 25 tu było i któremu się tu miało dostać?

Siostram bardzo przykro przichodzi po polsku się uczyć a najbardzi Tili s poczontku toz się trocha uczyły ale teraz już wcale zapomniały o tém. Na ostatku Cię wszyscy posdrawiamy tak jak i kochanego Wujaszka i kochany Wujenki, Bratrańca Joska i jego żona z dziatkami i Alojza syna Francka niezapominając.

Pisano od Twego
Ciebie
miełowającego Bratrańca
Wilhelm Schafflik.

Jeżeli nam kiedy będzisz pisał to nam pisz jeżelich w tem pismie dużo felerow zrobił.

Na to Juliusz 15. XI. 1867:

„Jak wielce się nad twoim polskim listem ucieszyłem, niemogę Ci opowiedzieć, pomimo że list ten jeszcze większą częścią niemieckim duchem tchnie, ale jeżeli nie będziesz szczędził pracy ,i zabiegów to wnet się nauczysz dobrze czytać i pisać. Ja zaś chcąc Ci wskazać najlepszy i najpewniejszy sposób do tego, podawam Ci następującą radę, więc słuchaj: weź się do czytania polskich książek, obierz sobie krótką powieść lub historyjkę, z książek: „Przyjaciel Dzieci" przeczytaj ją kilka razy z uwagą a potem zamknąwszy książkę, napisz całą z pamięci a potem patrz, czy niema jakiego błędu w którym słowie. I czyń tak z jedną historyjką po drugiej a zapewniam Cię, iż znacznej biegłości w pisaniu polskiem nabędziesz a co najważniejsza, pokochasz zapewnie polszczyznę, a jeżeli się w polskiem czytaniu i pisaniu pilnie ćwiczyć będziesz doznasz i przekonasz się później iż język nasz, jeden z najdziwniejszych, i najpotężniejszych na świecie. Język nasz jest bowiem z natury ducha swobodnego, bujające go, nieujętego, jest ruchów szerokich, rozmajtych, ustawicznych, w mgnieniu oka w inne kształty wpadających. Inszy jakikolwiek n. p. francuski, tak już został we wszystkiem zbadany, skreślony i w kluby wzięty, że możnaby mówić, że nie składa się z pojedyńczych wyrazów, ale z gotowych frazesów. Nasz w całym swoim składzie rusza się, wszystek jak liście lasu ogromnego. Jest przytém, tak pełen natchnienia, w najcieńszy promień myśli i czucia dostający, szybki, nieprzewidziany, że pisząc nim, można czasem przez dobranie jednego tylko słówka, jednego przymiotnika zdziwić i talentu dowieść, zresztą tusz sobie iż za parę lat ćwiczenia się w narodowym języku, sam się tego doznasz. Nie chcę ja Cię ta przez to wychwalanie naszej mowy ojczystej do inszych języków zniechęcić... Ale zawsze język ojczysty, to jest dla nas mowa polska musi być pierwszą u ciebie i patrz żebyś jak najprędzej w sposób zwyż wymieniony mógł sobie bujać wolnie myślami polskiemi i prosto od serca piórem po papiórze. Ja z mojej strony jak już często powtarzałem pamiętam zawsze o Tobie, nawet jedynem zadaniem moiem jest i będzie przez cały czas nauki Twojej mieć pieczą o Tobie, a jak daleko masz sztudować, to wiesz dobrze iż masz być uczonem człowiekiem całą gębą t. j. iż masz przejść całe gymnazyjum i uniwersytet w Wrocławiu albo gdziebądźkolwiek...

Ponieważ mi pisałeś, żebym Ci wymienił ile błędów w Twoim piśmie popełniłeś, więc myślę Twojej woli tym zadosyć uczynić, że Ci Twoje pismo nazad posyłam, żebyś zaraz widział co za błędy. Nie trwoż się nad tem Twoim pismem, że tyle błędów, wszak to dopiero pierwsze Twoje polskie pismo i nie myślałem sobie nawet żebyś już aby tak umiał polskie pismo ułożyć. Więc kiedyś już napoczął to nie ustawaj w polskiem pisaniu tylko postępuj dalej a pomyślny skutek uwieńczy dobre chęci Twoje.

Co mi piszesz, że Siostrom przykro przychodzi po polsku się uczyć to naturalna rzecz, ale gdyby tylko z wytrwałością i dobrą chęcią dalej postępowały, wnet by im się ta przykrość w przyjemność zamieniła, więc proszę Was Kochane Siostrzyczki postępujcież dalej a nie upadajcie na duchu, chociaż Wam to z początku i trudno przychodzi. Bardzo mię to zasmuciło gdy w Twoim liście dalej czytałem, iż z początku się trochę uczyły ale teraz już zaś wcale o tem zapomniały. A ja prawie się spodziewał, że te piękne historyjki się najbardziej kochanem Siostrzyczkom spodobają i że już ze samej ciekawości w tych książeczkach czytywać będą, ale jeszcze nie tracę nadziei i myślę, że się wezmą do polskiej nauki, gdy teraz wiedzą, iż przez to najbardziej pokażą, czy przyjaźń moja do nich je co obchodzi. Zdaje mi się, że serca dziewcząt zawsze tkliwsze co do uszanowania i czci ku Ojcowiźnie, a czy nasza polska mowa kochana nie jest częścią ojcowizny, czyście jej nie z herbowały po Ojcach? czybyście chciały być takiemi wyrodkami niewdzięcznemi, któreby w nieprzewidzianych przypadkach ani pisma do Ojców swoich napisać nię potrafiły, które by sobie sami przeczytać mogli? Czy by mieli potem Ojcowie latać od chałupy do chałupy i dać sobie tłómaczyć co by Panie Mościnki raczyły rządać?...

Najbardziej się cieszę nad Theodorem, bo on nie czekał, ażeby go ktokolwiek miał do polszczyzny zachęcać, boć już pięknie po polsku czytać umie, i bardzo się ucieszyłem gdy go po polsku czytać słyszałem, więc postępuj tak dalej a nigdy tego żałować nie będziesz. Macie teraz książki polskie i Cajtungi, więc czytujcie zawsze pilnie, gdy Wam czasu zbywa, boć to najlepsza i najpożyteczniejsza zabawa"...

A oto drugi list Wilhelma, pisany po polsku z 30. XI. 1867:

„Z wielką chęcią bierę te piorko, aby Ci o tutejszy powieści naszej małowielę napisać.

Jak Ci wiadomo, chcę exam zrobić w gody, jeszcze prawie nie wiedząc, w ktory dzień to odbędymy, pytam Ci się jak to zrobiemy.

My sam sądzemy tak: jeżeli by Ci można było, mogł byś do nas od ty niedziele za trzy tednie, t. j. na 22go Grudnia przyjechać, a na drugi dzień t. j. w poniedziałek, to by my mogli do Gliwitz jechać; a jak by tak nieszło, to nam pisz jak się narychtować mamy.

Tak Ci piszę, że by nas to bardzo cieszyło, gdyby nas w ras z tobą Szanowny Pan Wujaszek i Szanowna Panie Wujenka nawiedzieli, bo ich tu już dawno pragnymy, i zobaczyli by się tu ten nasz mały kościołek, którego w 28go Listopada wyświącali.

Szanowny Bratrańcze, jeszcze Ci o jedny ważny rzeczy piszę to jest następująca:

Pisałeś siostrom, aby się w polskiej mowie ćwiczyły, ale daremne twe napominania, one niesłuchają twego pisma i nieuczą się, tylko się jeszcze rwią, że je wroz polkami zrobić chcesz a najbardziej Polcia.

Toż Ci niepomoże nic, musisz śię trochę pobrušić, a skora też trochę wygarbować, abyś tego lenia z nich wykorzenieł, bo one mają czas, tylko się niechcą uczyć, a nie musisz je zaraz przepraszać, jak im będziesz trochę po grubelacku pisać, bo one mię teraz wcale nic nie nawiedzają w te mowie, tylko mną gardzą, że polakiem zostana, toż im abo możeś za to wyrobić. Kończąc mój list, pozdrawiam Was wszystkich i pragnę odpowiedzi najniekoszej za tedzień aby się mogł narychtować

twoj Bratraniec
Wilhelm Schafflik.

Brat Wilhelma, Teodor — do Juliusza 14. II. 1870:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kochani Przyjaciele!

Pozdrawiamy was na wiele razy i winszujemy wam szczęścio, zdrowio i błogosławięsta swiętego na ten nowy rok, i zeby wam się tam jak nailepij powodziło, i zeby was te nasze parem rządkóf jak przynajlepszem zdrowiu natrafić mogły, tak jak my sam Chwała Panu Bogu zdrowi sóm.

Serdeczni Przyjaciele! Bardzo się dziwujemy co was tam spotkało, iże nam nie odpisujecie, cyście tam chorzy, albo was jakie nieszczęście spotkało. Kochany Panie Juliusie! Fater ich jeszcze ras dawajóm pozdrawiać, jak łoni to myszlóm jeźli nam już nie mogóm dalej pomagać, zeby byli tacy dobrzy a nam doradzili jak mamy robić, bo go fater sami nie poradzóm utrzymać na Gymnazyj, po teras dziołchy coraz to większe, to tyż u nas więczy wychodzi. Tak ich fater jeszcze raz dowajóm proszić zeby byli tacy dobrzy a nam odpisali, bo my im już dwa listki posłali a jeszcze my żadny odpowiedzi nie dostali, jezli się to pogniwali albo co.

Kończóncz mój list pozdrawiam was wszystkich jeszcze raz i pozostanem ich

szczerym Przyjacielem
Theodor Schafflik.

Juliusz do Stryjostwa 3. III. 1870:

„...Wiem ja dobrze Kochani Wujaszkowie jak bardzo nie chcieliście Wilhelma dać do nauki i tylko ja był powodem do tego, żeście się do tak ważnego czynu odważyli, bo liczyłem na to że mie się też lepiej powodzić b dzie, jak mi się rzeczywiście przeszłego roku wodziło, i miałem już wtenczas ten zamiar Wilhelma własnem kosztem od miesiąca Stycznia 1869 utrzymywać. Lecz najprzód oszukałem się na naszem Państwie (hucie), bo liczyłem na to że od miesiąca stycznia 1869 podwyższą mi moje myto na 25 tal. miesięcznie, bo mi się tyle według prawości należało, ale mi wcale nic nie przyczynili, owszem tak daleko było iż w miesiącu Styczniu 1869 już miałem państwu moją służbę wypowiedzieć z powyższej przyczyny, tylko na wielkie proźby i przedstawienia mojich kochanych Rodziców tego nieuczyniłem.

Potem drugą przeszkodą było to: Z powodu wielkiego wzrostu naszego towarzystwa pożyczkowego i z powodu żeśmy zaczęli towarem handlować, wypowiedziałem służbę państwu „Minerwie" dnia 20 Października z tą prośbą, żeby mię już 1 Listopada z służby uwolnili, lecz mię nasz hutny inspektor Chuchul nie chciał z służby zwolnić aże ostatniego Listopada, a gdy już wtenczas odchodzić miałem, znowu mię prosili żebym już pozostał aże do 1 Stycznia 1870; więc cóż miałem czynić? Kiedy mi też i o to szło żebym w pokoju się z państwem rozestał. Z resztą zwolniono mię dnia 1 Stycznia ze służby, lecz byli byście mię zaiste pożałowali gdybyście byli widzieli jak bardzo się robotą przez ten czas, gdy mię państwo w kancelaryi trzymało, zagospodarzyłem. Powiadam Wam, że zwątpić miałem, bo sobie nie wiedziałem dać rady z tą robotą, i wiele to razem co cały dzień nic niejadłem i dopiero w późny wieczór zażywałem moje śniadanie, obiad i wieczerzą wszystko dokupy. Więc w takim to czasie i wasze pisma otrzymywałem, na które zawsze chciałem zaraz odpisywać, lecz przechodził u mnie czas bardzo szybkim krokiem i aż do terazka jeszcze Wam nieodpisałem, lecz pisałem Wilhelmowi przed 10 dniami i myślałem, że on wam pisać będzie... Teraz jeszcze parę słów: Gdy sam Wilhelm ostatni raz u nas był, o niczem niebyła nasza mowa jak naturalnie o jego nauce i obiecałem mu wtenczas, jeżeli by latoś jedną klasę przeskoczył dać mu za nagrodę 50 talarów na raz, jest to trochę wysoka suma, lecz jeżeli mi Pan Bóg użyczy zdrowia nie będzie mi trudno danego słowa dotrzymać i 50 talarów do... 15 sierpnia sobie uzbierać i powtarzam to jeszcze raz, że danego słowa niezłamię a Wy sobie tam może pomożecie i w nie jednej rzeczy.

*Że Wam o tem powtarzam to mam do tego bardzo ważną przyczynę, raz żebyście na to uważali, iżby się Wilhelm w pokoju uczyć mógł niezaprzątając mu głowę możliwemi waszemi frasunkami a potem iż to szczególna sława która oddziaływa i na przyszłe nauki. Względem mnie nie miejcie żadnej starości, bo nic tak bardzo nie życzę sobie jak waszego uszczęśliwienia. Teraz wiecie, iż miesięcznego dochodu mam 30 tal.(arów) a na przyszły rok może będ

Ruiny i odbudowa

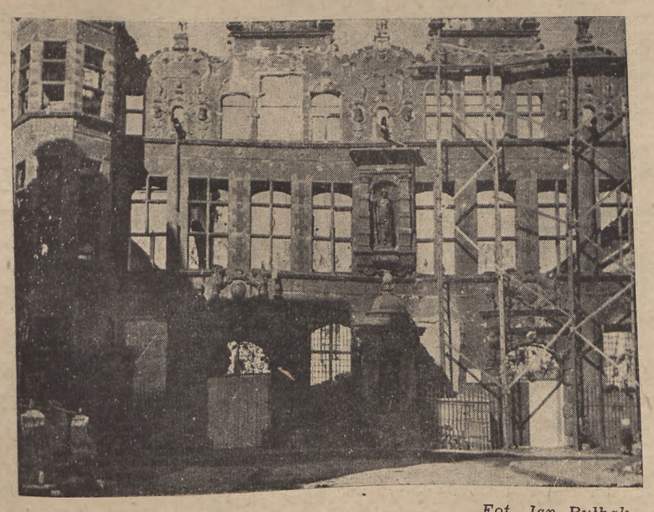

Fot. Jan Bułhak

Wczoraj ruiny, puste ulice i ślepe okna kamienic, dziś odbudowa, drabiny wspinające się po ogorzałych murach. Praca Ziem Zachodnich jest rękojmią ich trwałego posiadania. Zniszczenia wojenne w miastach polskiego zachodu są ogromne, ale większa jest nasza wola odbudowy.

IGNACY FIK

Światopogląd recenzencki

I.

W literaturze rozpanoszył się recenzent i jego światopogląd. Według niego wszystko w literaturze powstaje po to, żeby spowodować recenzję. Książka, która zdobyła pewne kwantum recenzji, jest książką pożyteczną, a zdobywszy je, spełniła swoje zadanie. Winna zejść z oczu, by zrobić miejsce innym.

Światopogląd ten, zrozumiały u wydawcy, narzucony został czytelnikowi. Ilością zauważonych recenzji mierzy on wagę książki i ustala hierarchię pisarzy. Według tych kryteriii ustala sobie listę lektury. O tej książce mało się pisze — nie warto jej czytać! O tym głośno, dali mu nagrodę — to wielki pisarz!

Światopoglądem recenzenta zarażony jest historyk literatury. Opinie autora „Obraz współczesnej literatury polskiej" są nie tylko w swej formie recenzjami, są kształtowane na recenzjach także w ocenie i klasyfikacji. Ilość wierszy w „historii" jest wprost proporcjonalna do ilości recenzji, jakie książka spowodowała.

Terrorowi mentalności recenzenta ulega także sam autor. Przekomarzania się w rodzaju: „on miał tylko 10 recenzji a ja 20!" — są pospolitym motywem rozmów między autorami. Autor zabiega o recenzje. Ale jak? „Posyłam ci moją książkę, bardzo proszę, napisz o niej w „Sygnałach". Ale pospiesz się, bo w międzyczasie gotów się z nią załatwić jaki kretyn. W „Wiadomościach" będzie pisał Antoni, w „Pionie" Karol. Już z nimi obgadałem. Poproś bardzo p. S. W., żeby posłał do „Kultury". Może zna się z recenzentem z „Prosto z mostu", niechby go trochę życzliwie usposobił."

Autor nie jest ciekawy odruchowych, niewyreżyserowanych reakcji odbiorców, jemu chodzi tylko o *dobrą* recenzję. Nie ma pasji prowokowania wypowiedzi obcych, nieznajomych, udzielanych prywatnie, nie zależy mu na wiedzy, czym się stała książka naprawdę, nie chce wyroków ale — komplementów. Stąd też ogromne rozdrażnienie, gdy recenzja nie jest po jego myśli. Stąd osobisty żal i nieistotne, personalne napaści i polemiki, które nic nie mają wspólnego z książką i literaturą, a są tylko praniem brudów i kogucim, złośliwym zacietrzewieniem.

Recenzent narzuca prasie swoiste pojęcie aktualności. Gdy w r. 1939 chciałoby się ogłosić artykuł o „Granicy" Nałkowskiej, nie można doprosić się o miejsce w żadnym piśmie. To nie aktualne. Niech pan napisze raczej o „Niecierpliwych". Napisać o Orkanie? Chyba nie, wolelibyśmy o Dygasińskim. Teraz jego wszyscy czytają. Wszyscy? To znaczy kto? Gromadka recenzentów, którym wczoraj poczta dostarczyła za darmo parę nowiutkich tomów.

A przecie pewne książki czyta się stale. Zjawiają się ciągle *nowi* czytelnicy dla których książka jest świeżym odkryciem i nowoczesnym przeżyciem. Bo do diabła z książką, o której nie opłaci się pisać już po roku. W takim razie nie wartało przecie pisać o niej w dniu jej narodzin.

Zdemoralizowani, zesnobizowani czytelnicy nie chcą wypożyczać z bibliotek książek, które wyszły zeszłego sezonu. Natomiast wystarczy zaobserwować co się dzieje z książką, która właśnie wyszła. Do wypożyczającej panny przymilają się całe ogony klientów. „Panno Stasiu! Ja zamawiam! Ja potem! Czy już jest? Ja to muszę mieć do niedzieli! Niech pani zamówi jeszcze jeden egzemplarz!" itd. Po miesiącu leżą cztery egzemplarze książki zmasakrowane i nieżywe. „Phi! cóż mi pan daje? Przecie tego dziś już nikt nie czyta."

II.

Recenzent, który musi pisać o książce, póki ona pachnie farbą drukarni, nie ma absolutnie możności stanąć w pewnym dystansie do zjawiska, którym jest ona. Nie ma możności uwzględnić w krytyce reakcji środowisk czytelników ani wypowiedzi swych kolegów po piórze. Stąd recenzje nie są ogniwami w dyskusji nad problematyką książki, ale wykrzykiwaniem na wyścigi zdania krytyka. Ja pierwszy zauważyłem, ja pierwszy pochwaliłem, to moja zasługa, że... Toteż jakże rzadkie są nawiązywania do rzeczy już powiedzianych, by wywody poprzednika kontynuować lub poprawiać, a ileż jest niepotrzebnej tautologii! Można dostać obrzydzenia do książki, gdy w różnych pismach czyta się w ciągu miesiąca tuzin recenzji i każda jest rodzoną siostrą poprzedniej. Jeśli pisarz jest dość sławny i nie zaangażowany wyraźnie politycznie — tak samo zostanie oceniony w pismach lewicowych jak prawicowych, w dzienniku brukowym i miesięczniku artystycznym, w organie polonistów czy pisemku młodzieżowym. A jeśli pisarz ma wyraźną przynależność grupową, wtedy nie czytamy recenzji, ale apoteozję lub paszkwil pod adresem jego prywatnej osoby.

III.

Założenie światopoglądu recenzenta jest takie: każde zjawisko, każda książka osobno! Przecie „każda stanowi indywidualny, odrębny ,mały, a czasem i większy, kosmosik, rządzony swymi prawami, różny od wszystkich innych" (Gombrowicz). Dla każdej od początku nowe prawa i przywileje! Zgoda i na to, ale w jakim celu zgoda? Czy tylko po to, aby poprzestać na zrozumieniu i opisie tego autarkicznego kosmosika?

Bez wątpienia każde dzieło sztuki jest dla siebie pewnym zamkniętym światem artystycznym, niemniej z chwilą, kiedy się pojawi, staje się cząstką obiektywnej rzeczywistości socjalnej i z tego powodu każdy ma prawo ustosunkować się do niej tak, jak mu jego społeczny interes dyktuje. W tym momencie samodzielny świat książki musimy sprowadzić do naszego świata jako przyporządkowany szczegół. Musimy go skrócić, zredukować do funkcji elementu. Autor nie może sobie wymówić u czytelników prawnie mieszania się do „nie swoich rzeczy". Dzieło jest własnością miliona różnych indywiduów, autor nie jest pożądany nawet po to, aby bronił swej książki, bo od tego jest tylko ona sama.

Każda książka narusza pewien statuts quo ante. Jedni mogą się z tego cieszyć, innym może to niedogadzać. Nie chodzi tu bowiem o pewien ilościowy przybytek, ale o dekompozycję całej rzeczywistości kulturalnej. Jedna książka może wywrócić do góry nogami całą istniejącą hierarchię wartości duchowych. Dlatego książka nie jest to sprawa protokulanta i recenzji. Nie jest to sprawa wierności w opisie czy kwalifikacji poziomu. Jest to problem zjawienia się sprzymierzeńca czy wroga, apostoła czy deprawatora, darmozjada czy odkrywcy.

Sens narastającej kultury nie polega na tym, by eliminować różnice, prawo do odwagi, okazje do walki i zwycięstw. Kultura przenosi te działania na inne platformy, bardziej godne cywilizowanego człowieka. Chce zamiast pałki i zasadzki dać idee i zasady. W sztuce istnieje walka o byt niemniej okrutna jak wśród zwierząt w dżungli. Pisarz czy artysta może przegrać swój sens i życie tak samo jak dawny błędny rycerz czy dzisiejszy strajkujący robotnik.

Są tacy, którzy walkę w literaturze pojmują jako likwidację fizyczną i moralną samego autora, obóz koncentracyjny, cenzurę, spalenie dzieł na stosie. Sama jednak sztuka proponuje, w interesie własnym i w interesie człowieka, zaciętość i bohaterstwo na innym poziomie. Jest za walką na idee, myśli, wizje i odkrycia artystyczne. Dla tego nie mogą trafić do przekonania apele: krytycy! liczcie się „z ludźmi ciężkiej pracy, niewielkich dochodów i odmiennej struktury duchowej". (Gombrowicz). Dobre serce liczące się z tymi akurat motywami nie byłoby wyrazem rzetelnego zrozumienia prawdziwej moralności literackiej, może natomiast zaprowadzić na manowce. „Ciężka praca", sama w sobie, nie jest jeszcze wartością pozytywną, a jeśli chodzi o „szczupłe dochody" literatów, nie są one konsekwencją okrucieństwa krytyki. Przeciwnie, żadnemu autorowi nie zaszkodziły finansowo najostrzejsze polemiki. Skandale zaś na pewno mocno pomagają.

Cudzoziemiec nie umiejący po polsku, ale obracający się w środowisku literatów, zapytany o zdarzenia w literaturze polskiej w bieżącym roku, umiał wymienić tylko trzy fakty: nagradzania fenomenalnego Andrzejewskiego, pojedynek Iłłakowicz — Wielopolska, przejście na faszyzm Goetla. W tych trzech zdarzeniach kulturalnych uczestniczył również każdy inteligent polski.

Inne rzeczy nie trafiły pod strzechy. Poza tym w prasie były tylko recenzje.

IV.

Recenzent nie znosi syntez i postulowań: Sądzi, że to zubaża rzeczywistość. On pławi się w bogactwie, w obfitości, w masie faktów. On tylko gromadzi, podpatruje coraz nowe szczegóły, donosi o nich wymownie i triumfująco. Traktuje literaturę wyłącznie jako pasjonującą przygodę i zabawę. Czy wykonuje w ten sposób swe obowiązki wobec czytelników?

Literatura jako część rzeczywistości społecznej zmusza nas do zajęcia wobec niej określonej postawy, do zdecydowanej reakcji, do sądu. Już sama konieczność orientacji w tłumie zjawisk stawia nas przed obowiązkiem poczynienia pewnej klasyfikacji i selekcji. Musimy mieć jakieś wytyczne, jakieś drogowskazy, które by z grubsza kierowały naszymi krokami. Musimy mieć mapę, która by nam w jednym rzucie oka pozwoliła objąć obraz całości. Kto korzysta z mapy, wie do jakiego stopnia jest ona „krzywdą rzeczywistości". Jak bardzo banalizuje ona świat! Z mapy wyparowało powietrze i słońce. Opuszczone zostało całe pulsujące bogactwem i różnorodnością życie. Zostały tylko nazwy i odcinki odległości. Tylko tyle! Bo też taki jest sens wszelkiego uogólnienia.

Gombrowicz naigrywa się z tych, „którzy zmuszeni są wycofywać się na grunt ogólników i banałów". Zachodzą tam tylko „chude myśli" i „chuda kategoryczność". Nie ma wątpliwości, że tak jest. Wie o tym każdy student jak bardzo musi maleć treść w miarę, jak zbliżamy się do granicznych kategorii. Ale taką właśnie ryzykowną zabawą zajmuje się od wieków filozofia. I każda twórcza nauka.

Zaglądnijmy do podręczników socjologii, a pouczą nas, jaka jest społeczna struktura każdego naszego obrazu świata, jakie rządzą nią konieczności i jakie powodują nią cele.

Literatura nie powstaje tylko dla historii. Jest ona żywą rzeczywistością aktualną: wojującą i w tej funkcji winna być wykorzystana do maksimum. Toteż muszę jako czytelnik zorganizować sobie pewien układ pojęć, taki układ, który by mi umożliwił aktywny stosunek do tej dziedziny. Aktywny, tzn.: pozwalający mi orientować się w całości, umożliwiający mi grupowanie narastających faktów w pewne otwarte kategorie, dający mi kryteria wartościowania i oceniania według moich żywotnych interesów, a wreszcie otwierający mi możliwości wpływania na dalsze kształtowanie się faktów. Oczywiście układ taki nie ma charakteru absolutnego, związany jest z moim doświadczeniem i moimi ideami.

Powie recenzent: ależ w takim razie musimy zejść na bardzo grube popularyzacje, uproszczenia i tendencje. A choćby! Bo do diaska! po co ma być ogromne bogactwo świata, jeśli mnie nigdy do niego nie dopuszczą, abym je ogarnął przynajmniej spojrzeniem? I po wtóre: cóż warty cały tłum przeżyć i doznań, jeśli te nie schodzą się nigdy nad wspólnym mianownikiem, choćby zaokrąglonym do bardzo przybliżonych liczb?

Socjologia usprawiedliwia istnienie uogólnień, konwencji, fikcji, formułek, schematów, szablonów i różnych stereotypów. Są one nieodzowne dla teorii i praktyki życia tak indywidualnego, jak i zbiorowego. Chodzi o to tylko, by te stereotypy miały pokrycie w żywych faktach i treściach emocjonalnych, jakie się z nimi kojarzą. Trzeba w tym celu czujności, wrażliwości i ustawicznego kontaktu już nie ze samą książką, ale także z zapotrzebowaniem środowisk.

To wszystko powoduje, że wyjść trzeba daleko poza służebności recenzenckie. Trzeba wołać o systematyków, teoretyków, twórczych krytyków i ideologów. Innej także trzeba roboty. Bardziej fachowej.

Czy to jest w porządku, jeśli na tematy teoretyczne literackie u nas nie pojawia się nawet jedna książka na rok? A prób bilansowania, syntezy, planowania ileż jest na dziesięć lat? Jeśli się pojawi jaka książczyzna, jest wypłoszona. Nie poprawia się jej, nie podejmuje się dyskusji z jej propozycami, odrzuca się ją a limine lub — recenzuje. Nic nie robi się, by ułatwić sukces następnej, bardziej doświadczonej próbie.

Zdać sprawę z charakteru literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia: jakiż niewdzięczny trud! Trzeba robić wszystko od początku. Zacząć od kupowania nie zarejestrowanych w żadnej bibliografii i nieobecnych w żadnej bibliotece druków. Nie ma żadnej pracy przygotowawczej, nie ma monografii ani poszczególnych pisarzy, ani kierunków czy szkół. Nie są opracowane żadne tematy, problemy, motywy. Nie ma żadnej wypróbowanej metodyki analiz socjologicznych, estetycznych czy psychologicznych. Żadnych prac porównawczych czy rodowodowych. Żadnych statystyk ani umownej terminologii. Nie przedyskutowano dla uzyskania jakiegoś wyniku żadnego problemu. Gadało się kiedyś o literaturze proletariariackiej, jak teraz dla odmiany o katolickiej, ale nie dogadało się spraw do końca. O awangardzie zaczynało się kontrowersje już parę razy i nie ustaliło się nawet, co rozumieć przez ten termin. Używa się terminów, jak: autentyzm, realizm humanistyczny, klasycyzm, ale sam twórca takiego terminu nie pozwala się sprowokować do wyjaśnienia co ma na myśli, twierdząc, że to jeszcze przedwcześnie a samo zjawisko zbyt żywiołowe. Są indywidualne projekty terminologii nowej poetyki, ale nikt tego nie próbuje kodyfikować, by nie zasłużyć na miano talmudysty. Nie pojawiają się fachowcy literaccy, nie tworzą się żadne specjalizacje i autorytety. A bez tych nie może przecie tworzyć się jakikolwiek poziom i postęp w kulturze literackiej.

W wysiłku budowy tej kultury bodaj czy nie trzeba zacząć właśnie od przezwyciężenia dominującego dziś w sprawach literackich światopoglądu recenzenckiego.

Lipiec, 1939.

Tydzień Katowic

od 1. 12. — 7. 12. 1947.

1. 12. 47. W ramach cotygodniowych odczytów Klubu Literackiego wygłosił Aleksander Baumgardten w sali Instytutu Śląskiego odczyt p. t. „Teatr radiowy".

2. 12. 47. Z inicjatywy Dyrekcji Instytutu Śląskiego odbył się 3-ci wieczór czechosłowacki Instytutu. Prelekcję wygłosił mgr. Zdzisław Hierowski pt. „Współczesna literatura czeska". W uzupełnieniu odczytu — recytacje poezji czeskiej.

MUZYKA:

2. 12. 47. W Państwowym teatrze im. Wyspiańskiego wystąpił gościnnie w operze komicznej „Cyrulik Sewilski" Rossiniego jugosłowiański artysta Stanoje Jankowic.

5. 12. 47. Odbył ię koncert symfoniczny z udziałem orkiestry symfonicznej Państw. Filharmonii. W koncercie wystąpił artysta skrzypek Wł. Wochniak, jako solista, dyrygował W. Rowicki. W programie: 1) Brams 1-sza symfonia, 2) Karłowicz koncert skrzypcowy. 3) Szabelski toccata.

7. XII. — 14. XII.. 1947

ODCZYTY:

2. 12. W sali Instytutu Śląskiego wygłosił prof. dr T. Kotarbiński, rektor U. J. odczyt p. t. „Walory techniczne działania".

2. 12. W sali odczytowej Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Węglowego w Katowicach, odbyła się prelekcja inż. Rajmunda Huculaka p. t. „Wrażenia z fabryk i narzędzi Szwecji".

PLASTYKA:

7. 12. Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków, oddział śląski, zorganizował w swoim Salonie Sztuki wystawę, malarstwa, rzeźby, grafiki i przemysłu artystycznego.

ŻYCIE MUZYCZNE:

10. 12. W sali koncertowej Domu Kultury i Oświaty Z. Z. wystąpił Czeski Chór Dziecięcy pod dyrekcją Jana Kühna. Wykonano pieśni polskie i czeskie.

2. 12. Zespół Pieśni i Tańca Wojsk Rokossowskiego wystąpił w sali Filharmonii z programem pieśni i tańców ludów radzieckich.

12. 12. W auli Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej odbyła się z udziałem T. Żmudzińskiego I-sza Audycja Umuzykalniająca, pt. „Fryderyk Chopin, mistrz miniatury i wielkich form".

14. 12. Związek Śląskich Kół Śpiewaczych Okręgu Katowickiego zorganizował wspólnie z Państwową Filharmonią koncert doroczny z udziałem wszystkich chórów okręgu katowickiego i orkiestry symfonicznej Państwowej pod dyr. W. Krzemieńskiego. Partie solowe wykonali L. Finze i A. Hiolski. W programie polska twórczość chóralna, m. in. Chopin, Moniuszko, Szymanowski, Żeleński, Stoiński i Prosnak.

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Stary Szczecin

Rys. J. Karbowska

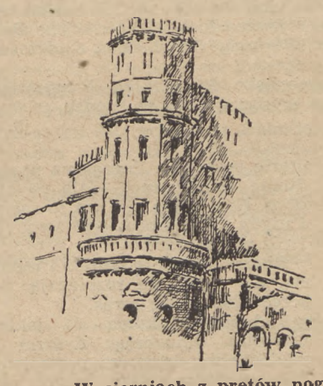

I.

Nad Odrą

W cierniach z prętów pogiętych założyłeś gniazdko
diamentowy słowiczku — gwiazdo.
Dziobkiem z Odry krople wody bierzesz.
A pod tobą Szczecin stary — jakby dźwięk lub zarys
nakreślony skrzydłem nietoperza.

W mokrym szumie dojrzewają gruzy
do bezkształtu, do prostych popiołów.
Tylko światła portowe nabrzmiały życiem.
Obok wiatr na konturach byłego kościoła
stawia stopę podbitą księżycem.

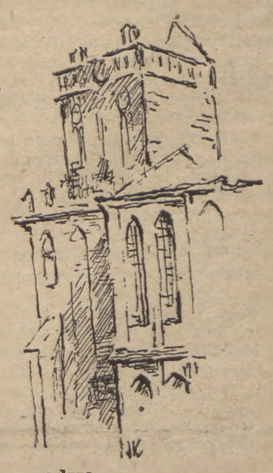

II.

Św. Jakub

Ścięta wieża obłoki wyciąga z zanadrza,
jak dziewczyna batystowe chustki.
Św. Jakub jednym ramieniem unosi
ostry płomyk jaskółki.

Żebra gotyku, w których słońce jak serce się mieści
i mieszczan nagrobki — to dotkniesz.
Strop i ołtarz uleciały w powietrze,
jak spojrzenie przez otwarte okno.

Na dachach czerwony od upału wiatr
obłe niebo ustawia z promieni.
Rzemieślnicy czterdziestu cechowych ołtarzy
proszą o kształt, o próchno, ziemię.

Barnim III, powalony listkiem,
wstaje wsparty na wystygłym murze.
Szuka wzburzonych, którym ręce płoną po łokcie,
bo wzruszeni zamarli nad gruzem.

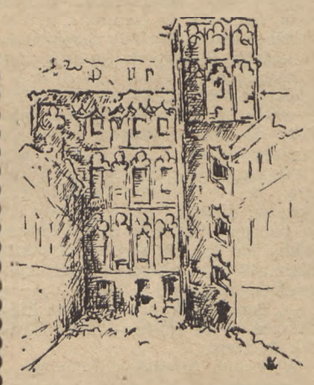

III.

Dom Lojców

Nachyl się nad wiatrem zastygłym w plastr ciszy,
drobne oczka pyłu ucałuj.
W Domu Lojców płatki blasków liczy
stu bankierów bez ciała.

Basztę Kobiet wysoko wzniósł promień.
Słońce ramię chłodzi w martwej Odrze.
Wszystko trwa, nie zamienia się w burzę lub ogień,
bo maleńki ptaszek wstrzymał oddech.

IV.

Praca

Włosiste światło błądzi wśród ścian, jak tysiąc puszystych główek
Trawki żują gryzący popiół, rośnie motyl na stopionym szkle.
Wchodzimy z zamarły pożar. Spod stóp nam nagle wyfrunął
plac ratuszowy i utkwił w klatce ulotnych rzęs.

Nie odbudujemy ciebie, słupie ognia, pod niebem wytrawionym na [błękit,
ogniu żyjący wówczas, gdy dolinę kamienną rzeźbił dywanowy zrzut.
Tylko dźwigi ukrzyżowane na wietrze, na stalowe kolana przyklękną
i z brył węgla będą pieśń pracy śpiewały jak z czarnych nut.

Promień łaski rozkwitł nad naszym czołem — acetylen wiążący [żelazo.
Szepcą kamienni Piastowie, w kruchtach kaplicznych drżą.
Świat się zaczyna od kadzi z wapnem, wyżej — soczysty lazur
i niby olbrzymie gołębie, kształty uciekające z rąk.

Szczecin, 1947 r.

JAN CZEP

Niedzielne popołudnie

Jedną z najmocniejszych pozycji prozy czeskiej chwili obecnej, prozy realistycznej, prozy dnia codziennego — reprezentuje pisarz wiejski, chłop z pochodzenia, Jan Czep. Urodzony w roku 1902 w Myslechowicach, na Morawach, wszedł do literatury w bardzo młodym wieku, zajmując w niej poczesne miejsce, dzięki swemu wyrazistemu talentowi, dzięki niezwykłemu darowi obserwacji, umiejętności czytania w ludzkich sercach i duszach, dzięki wreszcie wspaniałej, wrodzonej umiejętności posługiwania się ojczystym językiem. Ten właśnie jego język, barwny, jędrny, prosty a zarazem niezwykle bogaty, operujący rozległą gamą tonów i wyrazu, postawił szybko młodego autora w rzędzie najpoczytniejszych, najbardziej znanych i uznanych prozaików Czechosłowacji.

Tematyką książek Czepa jest czeska wieś, na której się urodził, wychował, i na której stale mieszka. Wnikliwa obserwacja, dar odczuwania wszystkich spraw szarego człowieka, umiejętność gromadzenia cudzych i własnych doświadczeń — oto tworzywo, z jakiego powstają piękne w pełni i wszechstronności wyrazu powieści Czepa. Konstrukcję i fakturę cechuje niezwykła skromność i prostota, umiar w stosowaniu i dawkowaniu obrazów życia, przeplatanych opisami przyrody, lekkimi analizami psychologicznymi, refleksjami filozoficznymi wreszcie.

Z książek jego wydano: „Dwie ojczyzny", „Zielone Świątki" (z których wyjątek zamieszczamy poniżej), „Dziurawy płaszcz" — wyróżniony nagrodą Akademii, „Granica cienia", „Błękitne i złote", „Siostra troska" (nowele), „Rozproszone promienie" (esaye). Po wojnie w roku 1946 ukazała się jego ostatnia praca: „Polna trawa".

Szeroką działalność rozwinął także Czep w zakresie tłumaczeń. W jego przekładach ukazały się w Czechosłowacji książki najlepszych autorów francuskich i angielskich: Balzaca, Bernanosa, Ramuza, Baringa, Stevensona, Andersena i innych.

Obecnie objął Czep stanowisko kierownika literackiego w jednej z większych firm wydawniczych w Pradze, w wydawnictwie „Vyszehrad".

jb.

Weszła, pozdrowiła cichutko i usiadła na ławce pod oknem. Na dworze niebo było niebieskie, słońce tkwiło w nieruchomych liściach drzew, na podwórzu kury grzebały leniwie. Świąteczny spokój kładł na wszystkim piętno odległych prawieków.

Po podwieczorku dzieci się rozbiegły, każde do swoich spraw: Marynka poszła z dorosłymi dziewczętami na spacer do lasu, najmłodszy Franek szukał wraz z chłopakami gniazd wróblich na strychu śpichlerza gminnego. Ojciec i matka siedzieli jeszcze chwilę przy stole, na którym stały resztki pieczywa i kubki od kawy. Znów byli sami, tak jak przed laty dwudziestu, kiedy nie było jeszcze ani Marynki, ani reszty dzieciaków. Siedzieli z rękoma złożonymi na kolanach, włosy ich złociło jesienne słońce. Jakby się zabłąkali w pustce. Jak drzewo, z którego zerwano już owoce: trzyma się prosto, liście ma zielone — a przecież jest jakieś smutne.

Nie widzieli, jak szła przez ogródek, nie słyszeli, by rozmawiała z psem na podwórku, czy z krowami w oborze. A miała kiedyś głos taki donośny! Kiedy stara Roubalka gwarzyła sobie z Anką młynarzową na Kładkach, za potokiem, słychać ją było aż w Lipowie na podwórzu.

— Nasza babcia już tam z kim sobie rozmawia — mówił ze śmiechem Mrozek, a jego żona uśmiechała się także.

Stara Roubalka nigdy nie chodziła powoli. Miała już ponad siedemdziesiątkę, ale jeszcze wciąż sama zarzucała sobie na plecy wór trawy. Idąc na ścernisko nie nakładała bucików. Kiedy w domu nie miała nic do roboty, zawsze znalazła sobie jakąś pracę u córki i zięcia. Przybiegała do nich wczas rano, myjąc bose nogi w rannej rosie, dzień cały dreptała pracowicie po podwórzu.

Był to okres błogosławionej równowagi, która jednak długo — niestety — trwać nie może: na scenie są dziadkowie, ojcowie i wnuki, życie jest pełne ciepła i blasku. Ci najstarsi żwawo jeszcze chodzą ścieżyną z Kładek do Lipowa, lecz podczas żniw pomagają sobie kijaszkiem, ci średni nie zdają sobie jeszcze sprawy z zanikania sił żywotnych, a ci najmłodsi uważają się już za dorosłych, eksploatując podświadomie ochronę tamtych dwu pokoleń.

Lecz pewnego dnia, na drodze między Kładkami a Lipowem, staruszkowi zakręciło się w głowie. Obcy ludzie musieli odprowadzić go do domu. Początkowo przesiadywał na stołeczku, wychodził na podwórze i parę kroków poza furtkę, potem — czy chciał, czy nie chciał — musiał położyć się do łóżka.

— Takbym chciał być tu jeszcze z wami, dzieci...

Nic nie pomogło. Pewnego dnia leżał w trumnie z owym dziwnym uśmiechem zmarłych na twarzy. Potem synowie i wnuki przenieśli go przez potok.

Równowaga została zachwiana na zawsze.

— Jutro do was nie przyjdę — mówiła staruszka wczoraj do córki. — Mogę przecież jedną niedzielę posiedzieć w domu... — A tymczasem przyszła, zanim jeszcze Mrozkowie zdołali wybrać się do niej.

Spojrzeli na nią z pewnym zdziwieniem. Zawstydziła się, zaczęła się tłumaczyć:

— Tak mi było smutno, że nie mogłam wytrzymać... — Przysiadła na ławce, wsparła głowę na dłoni i zapatrzyła się przed siebie.

Nie płacze, milczy. Lecz spojrzenie ma błędne, jak owego ranka, gdy Mrozek spotkał ją z węzełkiem na plecach na ulicy miasteczka: zastrachaną i bezradną. Zapytała go wówczas:

— Józefie, proszę cię... Jak tu się wydostać z tego miasta? Poplątało mi się w głowie, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jestem...

Żyli z nieboszczykiem przez lat pięćdziesiąt, nie pamięta ani chwili, by go przy niej nie było. (Lata dziewczęce to zupełnie inna kraina, do której dawno już zgubiła drogę.) I nagle została sama!

Sama pośród tych starych ścian, w tym zarosłym pokrzywą i zielskiem ogródku... Sama przy stole naprzeciw miejsca, gdzie zawsze stał jego talerz. Więc nawet przy nim usiąść nie chce, woli raczej jeść zupę wprost z garnka, stojąc przy kominie. Gdy krzyknie w oborce na kozę — wie, że jest z nią zupełnie sama; jego już tam nie ma, nie posłyszy, nie pomyśli: „Aha, to matka znów się z kozą kłóci..."

Ogarnia ją jakiś strach. Zegar tyka w ciszy, którą tylko jej własny głos może zamącić. Naraz zamarło wszystko. Pogrążone w zadumie ściany spoglądają na nią obco. Nie, to już nie jest to samo. I nigdy już nie będzie to samo... I cóż ma począć?

Bierze w rękę różaniec i modli się, ale myśli się rozbiegają, na serce kładzie się mróz.

Pod oknami kręcą się jakieś wyrostki, dmuchając dymem z papierosów, chichoczą postrojone dziewczyniska. Ona nawet nie zna tej młodzieży, tak to już powyrastało. Świat pełen jest już jakichś innych ludzi. A ona tkwi w tym samym miejscu, jak zapomniany but...

Więc wstała, włożyła chustkę i wyszła z chałupy. Na dworze błękitny dzień zamarł w bezruchu. Obezwładniła go jakaś cicha tęsknota. Życie toczy się gdzie indziej...

Roubalka siedzi z rękoma opuszczonymi na kolana. Na starczej twarzy maluje się wyraz przewiny, broda drga od powstrzymywanego płaczu.

Poważna i blada stała Amalka naprzeciw matki. Mrozek spoglądał w okno. Jakże tu pocieszyć tego starego człowieka, jak wymyślić dlań jakąś nadzieję? Boć przecież i nasze popołudnie pochyli się wnet ku wieczorowi...

— Wiecie co, babciu — odezwał się Józef — przeprowadzimy was do nas. O, tam ustawimy wam łóżko... Będzie wam tu weselej.

Ileż to już razy Roubalka projekt ten odrzucała! Nie i nie... Nie chce być nikomu ciężarem... Tym razem jednak zgodziła się bez sprzeciwu, niemal skwapliwie.

Zaraz w poniedziałek rano przewieźli na drabiniastym wozie: stoczone przez robaki łóżko, parę pasiastych pierzyn, trochę drzewa. A kozę zabrał rzeźnik Neswatba.

Chałupa nad potokiem pochyliła się jeszcze bardziej. Okna zasnuła żałoba. Ślady tylko ludzkich kroków zarosło dzikie zielsko. Pewnego razu posłali tam Franka po zapomniany stołeczek. Babka tak doń przywykła, że na niczym innym usiedzieć nie mogła. Chłopak omal nie wrócił bez niego. Ledwie furtkę otworzył, opadła go ze wszech stron straszliwa cisza, bezgłośna pustka po głosach, które tu niegdyś brzmiały. Zgrzytem przebiegło mu po sercu skrzypnięcie drzwi niezamieszkałego domu. Te sterczące ze ścian zardzewiałe haki... Ten próg wydeptany nogami, których już nie ma... Nie spojrzał nawet w ogródek, gdzie zapomniane narzędzia wrastały w ziemię, i uciekł.

Ale u Mrozków babcia marniała w oczach. Siadywała na stołeczku z różańcem w ręku i modliła się głośnym szeptem. Nagle usta przestawały się poruszać, głowa opadała na piersi. Nogi odmawiały posłuszeństwa... Czyż mogła kiedykolwiek przypuścić, że zdradzą ją te wierne służebnice? Sprawy dawne i nowe plątały się w pamięci. Milkła w pół słowa, jakby się jej coś nagle przypomniało. W wyblakłych oczach zjawiał się niepokój i lęk.

— Będzie tak drzemać, aż kiedyś zaśnie na dobre — rzekł Mrozek do żony.

W oczach Amalki stanęły łzy.

Położyli ją do łóżka, sprowadzili księdza. Staruszka prawie już nie jadła, drzemała od rana do wieczora. W ostatnie dni ogarnął ją niezwykły niepokój. Zaczęła bronić się przed snem, co chwila wstawała i uciekała na dwór. Musieli jej pilnować, musieli zamykać przed nią drzwi. Tłukła w nie pięściami, mówiła coś półgłosem i spoglądała gniewnie.

* * *

Pewnego wieczora leżała z zamkniętymi oczyma i oddychała cicho. Amalka stała nad nią. Miała wrażenie, że to nie potrwa już długo. Naraz staruszka otworzyła oczy, jakby wydobywając się z głębokich ciemności, spojrzała poważnie i rozumnie w oczy córki. Potem znowu powoli je zamknęła. Parę razy odetchnęła szybciej, oddech się urwał, westchnęła raz jeszcze głęboko i jakby się rozprostowała...

A teraz leży w chłodnej izbie, drobna i cicha, z pokornie i nieruchomo złożonymi rękoma, jak mała dziewczynka. Nogi w białych pończochach są sztywne, jak nogi lalki...

Nie przyszło jej nigdy na myśl, że będzie kiedyś leżała pod tym dachem, że pośmiertny dzwon zadzwoni jej w tej właśnie wsi! Może kiedyś szła tędy jako młoda dziewczyna do miasta, z koszykiem śliwek na plecach, i mijając te drzwi myślała sobie: „jacy też to ludzie przez ten próg przechodzą?..."

Śmiałaby się, gdyby jej kto powiedział, że to właśnie jest ten próg, przez który wyniosą ją kiedyś sztywną, nogami naprzód..

Przekład: Jadwiga Bułakowska

W Czechosłowacji

Wśród przyjaciół w Brnie

Nasza podróż literacka na czeski Śląsk, która według planu i zaproszenia miała się zamknąć w trójkącie Ostrawa—Opawa—Mistek, w drugim dniu naszego tam pobytu zaczęła zdradzać tendencje do rozszerzenia zasięgu. Telefony A. C. Nora zapraszały do Pragi, telegramy Morawskiego Koła literatów wzywały do Brna. Zaproszeniu pierwszemu musieliśmy z żalem odmówić ze względów na odległość i czas, drugiemu już odmówić nie mogliśmy tym więcej, że poparli je gorąco koledzy z Ostrawy, będący również członkami wspomnianego koła.

Pociąg pośpieszny w łagodnym i płynnym rytmie przesuwał przed nami naprzód dobrze już śniegiem przyprószoną panoramę Śląska a następnie obrazy bezśnieżnych, falistych Moraw. Gdy dojeżdżaliśmy do Brna, mrok szybko opadał na miasto, którego oparty na wzgórzach horyzont przecinały śmiałą, wysoką linią gotyckie wieże kościoła św. Piotra i Pawła.

Powitanie na dworcu było pierwszą z licznych najmilszych niespodzianek, jakie nas tu czekały. Witała nas grupa pisarzy a pierwsze słowa, które padły, wygłoszone zostały piękną polszczyzną, której skład leksykalny i budowa zdań świadczyły ponad wszelką wątpliwość o jej rodowodzie sprzed lat chyba czterdziestu i o jej szerokich literackich koligacjach. To mówił mocno już siwy lektor języka polskiego na uniwersytecie w Brnie, dr Maksymilian Kolaja. W gwarnej hali ruchliwego dworca te słowa nie były oficjalnym powitaniem. Były jak konieczny, niezastąpiony uścisk przyjacielskiej ręki. Sygnalizowały, że wchodząc w to nieznane nam miasto, wśród nieznanych nam ludzi, znajdujemy od razu przyjaciół. Była to przyjaźń osobliwa: nie myśmy ją zdobywali, otrzymywaliśmy ją w spadku po poprzednich pokoleniach, jako rzecz gotową i doskonałą, czekającą tu na nas już od lat, odradzającą się tutaj z generacji na generację.

Morawy to liczne środowisko literackie, którego centrum stanowi Brno. Docierały już do nas stamtąd pisma i wiadomości, stąd zrozumiałe zainteresowanie, z jakim wchodziliśmy w to środowisko a zarazem w ulicę pięknego, ruchliwego miasta, które tak uroczo i harmonijnie zespoliło w swym wyglądzie przeszłość z nowoczesną teraźniejszością. Zainteresowanie to skupiało się przede wszystkim na licznej i doskonale postawionej organizacji literackiej, która pociągała nas jako przykład szeroko rozbudowanego samorządu literatów, umiejących wyznaczyć sobie obok celów ściśle zawodowych ciekawe cele i zadania społeczno-kulturalne.

Moravske Kolo Spisovatelu to regionalny związek literacki, niezależny od centralnego związku pisarzy, jakkolwiek członkowie Koła są równocześnie członkami Syndykatu Pisarzy Czeskich. Koło to skupia pisarzy pochodzących z Moraw i Śląska lub tam zamieszkałych. Organizacja ta ma swoje uzasadnienie nie tylko w tym, że Syndykat nie rozpada się na oddziały terenowe. Ma ona przede wszystkim swoje regionalne cele kulturalne i im głównie

V. Průchapek

służy. Chodzi m. in. o stworzenie również i poza Pragę silnego ośrodka życia kulturalnego i ten cel Koło bez wątpienia osiąga. Brno ze swoim uniwersytetem, licznymi szkołami średnimi różnego typu, z kilkoma teatrami, ze swymi instytucjami kulturalnymi, ze swym charakterem ośrodka dyspozycyjnego dla całych Moraw sprzyja z natury tym poczynaniom.

Gdy patrzyłem przez trzy dni na pracę Morawskiego Koła literatów, żywo przypomniał mi się pewien fragment zjazdu literatów we Wrocławiu. W czasie debaty nad sprawami organizacyjnymi Michał Rusinek odezwał się mniej więcej w te słowa: „z roku na rok regularnie mówimy na naszych zjazdach to samo, narzekając na nasze niedociągnięcia i ślamazarność organizacyjną, która paraliżuje wiele naszych usiłowań i zamiarów; czas z tym skończyć, koledzy, czas najwyższy zabrać się do poważnej, sprężystej organizacyjnej roboty". — Na to powiedzenie Rusinka ze strony prezydium padło żałosne pytanie: ale jak?

Otóż nasi koledzy z Brna pokazali, jak się te rzeczy na pewnym odcinku robi. Stworzyli po prostu własnymi siłami i środkami, bez żadnej pomocy z zewnątrz wielką spółdzielnię wydawniczą literatów i czytelników. Jest to w tej chwili największe chyba wydawnictwo na Morawach a trzecia co do liczebności spółdzielnia wydawnicza w Czechosłowacji.

Spółdzielnię tę tworzą literaci, jako ci, którzy piszą książki i kierują wydawnictwem, i czytelnicy, jako ci, którzy książki kupują. Tych pierwszych jest ponad 150, drugich około 9.000. Wydawnictwo rozwija się z roku na rok. Z każdym nowym rokiem rozszerza zasięg, powiększa poczet autorów i książek, udoskonala szatę graficzną i stronę artystyczną swych publikacji. Literaci tworzą Radę Nadzorczą i Zarząd, dyrektorem jest czynny i płodny literat Vaclav Prokupek, który w sposób nieporównany łączy te dwa zawody i umie utrzymać poważną pozycję lite-

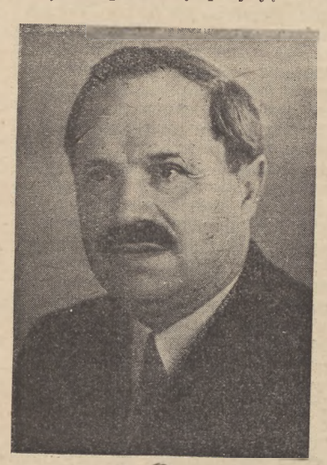

Vojtěch Martinek

racką przy świetnym spełnianiu obowiązków kierownika organizacyjnego i handlowego wydawnictwa. Niektóre poważniejsze funkcje płatne sprawują również literaci, oni też są redaktorami poszczególnych serii wydawniczych, lektorami, redaktorami pisma wydawanego przez spółdzielnię itd. I w tym wszystkim nie ma cienia przysłowiowego u nas literackiego bałaganu czy niezaradności, wszystko funkcjonuje jak w zegarku szwajcarskiej marki.

A kto na tym zarabia? Znów pisarze i znów czytelnicy. Pisarze przez to, że otrzymują lepsze warunki płatności i wyższe honoraria niż gdzie indziej, że z części zysków wydawnictwa tworzą poważny fundusz pomocy dla potrzebujących kolegów i ich rodzin, natomiast czytelnicy otrzymują tanią, dobrą i piękną książkę. Ci czytelnicy to członkowie wspierający, płacący minimalną składkę roczną i prenumerujący w roku 4 lub 8 książek z liczby dwudziestu kilku publikowanych przez wydawnictwo.

Rzeczą zupełnie nową jest stworzony ostatnio przez Koło Klub Młodych Czytelników. Jednoczy on młodzież szkolną, która prenumeruje cztery książki rocznie, otrzymuje bezpłatnie pisemko i premię w postaci jednej artystycznej reprodukcji w roku. Wydawnictwo otwierając ten Klub dało członkom do wyboru 20 wydanych przez siebie książek na wiek od 4 do 15 lat, ujętych w dwie serie wydawnicze. Autorzy książek jeżdżą do kół klubu z porankami autorskimi i korespondują ze swoimi młodymi czytelnikami. Książki przeznaczone dla członków tego Klubu odznaczają się doskonałą formą literacką i wyjątkowo piękną szatą artystyczną. W ten sposób wychowują się zastępy przyszłych dorosłych czytelników i miłośników książki.

Patrzyliśmy na tę całą pracę z podziwem, uznaniem i skrytą zazdrością. Przede wszystkim jednak porywał nas entuzjazm, z jakim o niej mówili jej wykonawcy, członkowie Zarządu i pisarze współpracujący, zapał, z jakim odsłaniali nam mechanizm tej pracy i jej społeczno-kulturalne i zawodowe założenia. Imponowała nam przy tym ich praktyczność, zaradność, ich zdolności organizacyjne i handlowe. Zarażali nas tym wszystkim a widząc nasze zainteresowanie podniecali nasze nieśmiałe, lękające się słów marzenia...

Te marzenia odżywają raz po raz, gdy rzucę okiem na stojący na półce rząd pięknych książek, dar przyjaciół z Brna, ludzi tak samo serdecznych jak rozsądnych i umiejących się rządzić.

Zdzisław Hierowski

M. E. Elpl.

Radość i mądrość

Gdy przekracza się granicę czeską, odczuwa się jakąś inną atmosferę. Jest tu ciszej. Z gwaru i zgiełku polskiego, gdzie wre praca i szaleństwo odbudowy — tu odczuwa się spokój narodu, który nie zaznał okrucieństwa wojny. A jeżeli zaznał, to nie tak jak my. Może inaczej, może spokojniej. My targaliśmy wędzidła, oni znosili to spokojnie. Zresztą są z natury cisi. Gdy jechaliśmy z powrotem, nasze dwie ławki w wagonie były najgłośniejsze. Cały czas gadaliśmy, gadaliśmy, zapełnialiśmy wagon głośną rozmową, śmiechami, dymem papierosów i podczas kilkugodzinnej jazdy przewróciliśmy w zawziętych dyskusjach świat do góry nogami. Mamy stanowczo więcej temperamentu. Czesi są cisi i grzeczni. Tą grzeczność widzi się na każdym kroku. W tramwajach, kolejach, na ulicy, przy kasie teatralnej, w kinie, czy restauracji. Konduktorka tramwajowa o wyglądzie naszej hrabiny, jest uśmiechnięta do wszystkich,

Jarmila Urbánková

wszystkim dziękuje, wszystkich informuje i uprzedza, gdzie mają wysiąść. Swoim zachowaniem przypomina dobrą nauczycielkę, która potrafi opiekować się dziećmi. Naprawdę przyjemnie jest jechać czeskim tramwajem, przyjemnie wejść do sklepu, kina, czy restauracji. Urwał mi się wieszak u płaszcza i kiedy odebrałem z garderoby, był mocno przyszyty. Grzeczność i cisza — oto cechy narodowe naszych sąsiadów. W wielkich miastach nie słychać gwaru, samochody starają się nie trąbić w niebłogosy, tramwaje nie dzwonić bez potrzeby, a na ulicy ludzie starają się raczej nie mówić, a jeżeli, to już konieczne, to półszeptem, bardzo śpiewnym i dla ucha miłym.

Z okien samochodu, czy wagonu kolejowego krajobraz jest mimo grudniowej pogody bardzo urozmaicony. Gładkie szosy z białymi słupkami po obu stronach, a tam dalej szachownica pól i wioski barwne, jakby namalowane przez van Gogha, skupione i zawzięte. Mało tu zniszczeń wojennych, a te, które były, zostały dawno usunięte. Tu i ówdzie zwaliska domów łatane są świeżą czerwienią cegieł i gmatwaniną rusztowań. Jedynie Opawa przypomina swoimi ruinami wygląd naszych miast na zachodzie. Uderzają afisze propagandy antyalkoholowej, choć są one raczej niepotrzebne. Mężczyźni nie piją, rzadko palą, i ani razu nie widziałem pijanego, lub choćby podchmielonego. Z rozmów zaś dowiedziałem się, że w Czechosłowacji nie ma pijaków.

Publiczność w teatrach nie kaszle, nie kicha, nie kręci się na krzesłach, a na naszych wieczorach autorskich, których mieliśmy kilka w kilku miastach, była taka cisza, że muchę można było słyszeć. W Mistku kilka osób się spóźniło, ale nie weszły na salę, czekając na przerwę. W Ostrawie w dwóch rzędach siedzieli żołnierze i oficerowie. Żołnierze, którzy przyszli z własnej ochoty na wieczór literacki i zapłacili po pięć koron za bilet wstępu. W Opawie i Brnie po wieczorze zgłaszali się ludzie po autografy a wielu z nich z wyglądu i ubrania było robotnikami.

Cieszyli się nami wszędzie. Na każdym kroku spotykaliśmy życzliwość i to nie wymuszoną, ale szczerą. To się czuło. Przechodnie na ulicy uśmiechali się do nas, nie mówiąc już o tych, z którymi zawieraliśmy znajomości. Jeszcze nigdy w życiu nie całowałem się z tyloma ludźmi w tak krótkim przeciągu czasu. Ci mądrzy, kulturalni ludzie lubią nas. Znają naszą literaturę, sztukę, muzykę. Znają nasze dzieje dawne i dzisiejsze. Znają nasze cierpienia i radości, nasze ruiny i zapał odbudowy. Martwią się naszą niezgodą. Przy każdej sposobności podkreślają z naciskiem swoją zgodę. Ich blok czterech partii jest naprawdę wachlarzem, od komunistów do tego, co się u nas nazywa czarną reakcją. Ten najbardziej pokojowy naród na świecie nie zna warcholstwa wewnętrznego. Różnią się w poglądach politycznych, polemizują ze sobą w swoich gazetach, ale w pewnych zasadniczych sprawach momentalnie się godzą. Chcą wspólnej zgodliwej granicy z nami, chcą naszej granicy na Odrze i Nysie i chcą pokoju.

Ich pisarze mają swoje wille, artyści własne samochody. Ich pisarze tworzą książkę za książką i każdy w wieku naszego Andrzejewskiego posiada co najmniej dziesięć pozycji w swoim dorobku. I to jakich książek i jak wydanych!, Oczu oderwać nie można. Jaki papier, jakie okładki, ilustracje. Posiadają to, czego dotychczas nam brak: życzliwej atmosfery samego odbiorcy, czytelnika. To zachęca do pracy. Ich obrazy znajdują nie tylko zainteresowanie, ale i pokupność. W dniu otwarcia wystawy malarzy w Ostrawie na wielu obrazach były karteczki: sprzedany! Transakcje dochodziły do dziesiątków tysięcy na malarza.

W dolinie Morawskiej Bramy uprawiają wino. A wino: wiadomo, daje radość życia i mądrość.

Jan Brzoza.

DAPHNE DU MAURIER

VI)

Generał Jego

Znalazłszy się na wałach, widziałam całą okolicę, jak na dłoni. Od razu też zobaczyłam Janka Rasleigh, pędzącego konno przez park. Nie opuszczała mnie ani na chwilę straszna obawa, że się chłopiec utopił.

Matty popychała mój fotel tam i na powrót wzdłuż wału, ale nigdzie nie było widać ani żywego ducha.

Po dłuższej chwili posłałam Matty do domu po płaszcz, bo zaczęło się robić chłodno. Nie minęło nawet 10 minut od chwili jej odejścia, gdy nagle ujrzałam dwie męskie postacie, zmierzające ku mnie przez łąki. Jeden z mężczyzn, ujrzawszy mnie na wale, zaczął machać do mnie ręką, drugą ręką trzymając mocno wpół swego towarzysza.

Był to Janek Rasleigh. Prowadził ze sobą Dicka.

Kiedy podeszli całkiem blisko spostrzegłam, że chłopiec jest przemoczony do nitki, a ręce i twarz ma podrapane przez jakieś kolczaste gałęzie. Patrzył mi jednak w oczy z wyzwaniem.

— Nie pójdę — oświadczył. — Nie możecie mnie zmusić, żebym odjechał!

Janek potrząsnął głową i wzruszył ramionami z rezygnacją. — Szkoda zachodu, Honorato — powiedział. — Będziemy go musieli gdzieś tutaj zatrzymać.

— Masz przy sobie klucze ojca? — spytałam go natychmiast.

— Owszem, mam — odparł.

— Wobec tego otwórz drzwi do pawilonu.

Posłuchał od razu, o nic nie pytając. Drzwi w jednej chwili otwarły się z trzaskiem i stanęliśmy na progu pawilonu.

— Odsuń dywan — powiedziałam — i podnieś tę płytę.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale bez słowa odszedł, by spełnić mój rozkaz. Odsunął dywan, podniósł płytę i oto oczom naszym ukazało się przęsło wąskich schodów, prowadzących w ciemność.

— Nie pytaj o nic, Janku — powiedziałam. — Nie czas teraz na wyjaśnienia. Te schody przechodzą w korytarz, który prowadzi aż do samego domu. Zabierz tam teraz ze sobą Dicka. Gdy wejdziecie na schody, zakryj za sobą otwór tą pokrywą i przeciśnijcie się aż do końca korytarza. Znajdziecie się w małym pokoiku. Będzie to coś w rodzaju maleńkiej celki. Za nią są znowu schody. U szczytu schodów zobaczysz drzwi, które, jak mi się zdaje prowadzą do wnętrza domu. Ale nie próbuj otwierać, póki ci nie dam jakoś znać, że już można.

Tym razem nie było kłopotu z Dickiem. Z mego zachowania i tonu wywnioskował widać, że niebezpieczeństwo jest całkiem bliskie i że wobec tego nie czas już na stawianie dziecinnego oporu. Wskoczył w otwór w posadzce, niby spłoszony zając. Patrzyłam, jak Janek układa dywan na odsuniętej płycie i jak potem, znikając w dziurze w ślad za Dickiem, opuszcza ją sobie nad głową.

W tejże chwili ujrzałam, że Joan biegnie pędem wzdłuż wału. Wyraz napięcia i przestrachu malował się w rysach jej ślicznej twarzyczki. — Już tu są! — zawołała. — Widzieliśmy ich z okna! Mnóstwo ich, wszyscy konno, jadą już tutaj przez park!

Głos jej załamał się w łkaniu. Pchając mój fotel przed sobą, pobiegła z powrotem ku domowi. Niespodzianie i ja uległam ogólnej panice.

— Szukałam wszędzie Janka. — Mówiła Joan, zdyszana — i nigdzie go nie mogłam znaleźć... Ktoś ze służby mi powiedział, że go widziano, jak szedł w kierunku Gribbin... Och, Honorato! Nasze dzieci! Co oni z nimi zrobią! Co się teraz z nami stanie?!

Doleciały mnie krzyki od strony parku, a spoza bramy rytmiczny, miarowy odgłos licznych kopyt końskich, kłusujących po twardej ziemi. Nie było to lekkie klaskanie nadjeżdżającej kłusem kompanii, lecz głęboki, niekończący się szum, zwiastujący zbliżanie się całego pułku.

W krużganku pojawili się trzej oficerowie. Pierwszy był wysokim, otyłym mężczyzną z długim nosem i ciężką szczęką. Zielona szarfa biegła mu na ukos przez pierś. Poznałam w nim natychmiast Lorda Robartes pana na Lanhydrock, olbrzymim majątku, przez który się przejeżdżało, jadąc do Bodmin.

— Gdzie jest właściciel tego domu? — zapytał.

— Męża nie ma w domu — odrzekła Maria, wysuwając się naprzód. — A mój pasierb jest gdzieś w majątku.

— Czy wszyscy mieszkańcy tego domu są tu zebrani?

— Wszyscy z wyjątkiem służby.

— Nie ukrywacie tu jakich buntowników?

— Nie.

Lord Robartes zwrócił się do jednego z oficerów sztabowych. — Przeszukać dokładnie dom i przyległości — rozkazał. — Wyłamać każde drzwi, które są zamknięte na klucz i obszukać ściany, czy nie ma gdzie drzwi ukrytych. Każcie chłopom spędzić bydło i owce i cały żywy inwentarz i wyznaczcie ludzi do pilnowania stad i spichlerzy. Ten krużganek i wszystkie inne pomieszczenia parterowe zajmujemy dla swego osobistego użytku. Żołnierze niech się rozłożą obozem w parku.

— Rozkaz, panie generale — oficer zasalutował i oddalił się niezwłocznie, by wypełnić polecenia dowódcy.

— Jak tylko piętro zostanie zrewidowane, możecie tam odejść, — ciągnął dalej lord Robartes, zwracając się do Marii i nas wszystkich. Nie będzie wam wolno ruszać się stamtąd bez mojego specjalnego zezwolenia. Kuchnia przechodzi pod nasze rozkazy. Część zapasów zostanie wam wydzielona. Waszmość panią proszę o klucze.

Widziałam, jak się Maria zachwiała, a potem wolno i niechętnie odpięła pęk kluczy od pasa.

— Czy ja sama nie będę tam miała dostępu? — spytała.

— Nie, proszę łaski pani. Zapasy nie są już więcej własnością Waszmość państwa, lecz przeszły do rąk Parlamentu. Tak zresztą, jak wszystko inne w tym majątku.

Gdy zaniesiono mnie na górę, stwierdziłam, że żołnierze oszczędzili mi trudu otwierania drzwi od zaryglowanego pokoju. Zostały one po prostu wyłamane; szczątki tych drzwi zaścielały podłogę. Obicia ściany podarte były na strzępy, ale arras, zasłaniający ścianę, przyległą do szkarpy, wisiał cały i nietknięty. Powiedziałam Matty, że Joan z dziećmi zamieszka teraz w moim dawnym pokoju, a ja przeniosę się do tego, który dotychczas był zaryglowany.

Kiedy te dwa pokoje zostały już doprowadzone do względnego porządku, a służba pomogła Matty naprawić wywalone drzwi, podsunęłam się do samego roku w północno-wschodniej stronie mego nowego locum i odsunęłam arras. Przesunęłam dłońmi po kamiennej ścianie, tak samo, jak tego wieczoru, kiedy to Jonatan schwytał mnie na gorącym uczynku tam w ciemnym pokoju i znowu, po raz drugi, nie mogłam natrafić na żadną, choćby najdrobniejszą szczelinę w kamieniu.

Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że tajemne drzwiczki można otwierać li tylko od wewnątrz kryjówki. Z całej siły uderzyłam pięściami w ścianę, ale zrozumiałam od razu, że gruby mur nie przepuszcza żadnego dźwięku.

Usłyszawszy kroki w korytarzu szybko opuściłam arras i powróciłam do okna, udając, że pilnie wyglądam na dziedziniec. Te same kroki rozległy się potem w moim dawnym pokoju, a w chwilę później głośno zapukano do mych drzwi.

— Proszę wejść — powiedziałam.

Prymitywnie posklecane drzwi otwarły się gwałtownie i sam Lord Robartes ukazał się na progu.

— Doszły mnie wieści — odezwał się, przyglądając mi się bacznie — że do dziś przebywał pod tym dachem syn tego Grenvile'a. Miał jakoby odjechać stąd łodzią rybacką do St. Mawes parę godzin temu. Waszmość panna podobno matkowałaś temu chłopcu. Gdzie on jest naprawdę w tej chwili?

— Mam nadzieję, że gdzieś koło przylądka Dodman — odparłam.

— Słyszałem, że w ostatniej chwili, kiedy już nawet rozpinano żagiel, chłopca nigdzie nie można było znaleźć. Jan Rasleigh miał ponoć wyruszyć na poszukiwanie. Moi żołnierze nie natrafili jeszcze nigdzie ani na jednego, ani na drugiego. Czy Waszmość panna wiesz może, co się z nimi stało?

— Nie wiem — odrzekłam. — Mogę jedynie ufać, że są w tej chwili w łodzi.

— Waszmość panna wiesz zapewne o tym, że nałożono wysoką cenę na głowę Grenvile'a — rzekł Lord Robartes szorstko — i że udzielanie schronienia jemu, albo komukolwiek z jego rodziny Parlament będzie uważał za zdradę. Mam co do tego wyraźny rozkaz Księcia Essex.

Nikt w całym domu prócz mnie nie znał tajemnicy szkarpy, bo

W Czechosłowacji

Czesko-słowackie impresje

B. J. Popelarz.

Pozdrawiam obywateli Czechosłowacji. Pozdrawiam ich nie za gościnę, którą użyczyli nam, gościom z Polski, bo gościnność jest cechą Słowian; pozdrawiam ich za ich umiłowanie pokoju, ładu i porządku, za spokój rąk wznoszących po wojnie nowe życie, za harmonię serca i rozumu, za uczciwość pracy dla swego kraju. Pozdrawiam ich za kulturę słowa i czynu, za umiłowanie książki i troskę o młode pokolenie, za piękno krajobrazu i cześć dla własnej, słowiańskiej przeszłości; — za ich umiłowanie wolności i za prawdziwą, rzetelną wiarę w przyszłość, opartą na współpracy narodów, mówiących jednym prawie językiem choć innymi akcentami.

Co nas — ludzi pióra — uderza w Czechosłowacji najbardziej, to — organiczna, powszechna, mało rzec: potrzeba, raczej zachłanność kultury. Trudno sobie wyobrazić wdzięczniejszego konsumenta kultury niż mieszkańca Czechosłowacji. Pojmuje ją on z rozsądkiem, ale i z entuzjazmem, dlatego jednakową uwagą cieszą się klasycy wszelkich rodzajów sztuki jak i najśmielsi nowatorowie. Uderza to zwłaszcza na wystawach plastyków, gdzie tłumy zwiedzających (w dniu otwarcia wystawy w Ostrawie 400 ludzi!) komentują eksponaty o najróżnorodniejszych założeniach formalnych. Takich samych ludzi zobaczymy w Muzeum Miejskim przy zwiedzaniu wystawy szopek góralskich (warto by i u nas o czymś podobnym pomyśleć). Ponieważ zaś Czesi umieją być praktyczni w ujmujący sposób, więc w tym samym gmachu, parę sal dalej, widzimy wystawę przemysłu metalurgicznego. Jakoś to tak naprawdę jedno z drugiego wynika: ludowe szopki z surrealistycznych kompozycji malarskich i żelazne, najbardziej nowoczesne konstrukcje szybów — wyrastają na tle barwnych plansz i planów, od których znów tylko krok jeden do wspomnianych już obrazów, których tematem bardzo często są te właśnie kopalniane, metalowe wieże. I tak oto koło się zamyka. — Ale na wystwie metalurgicznej zetknąłem się nie tylko z inżynierami. Widziałem tam także kilkunastoletnie dziewczyny, młodych chłopaków w towarzystwie ojców i bez, podglądających konstrukcje pieców hutniczych. Widziałem wojskowych, księży, starsze panie. Trochę mi nawet było przykro, bo przypomniałem sobie podobną wystawę w Katowicach, na której również widziałem publiczność — a raczej jej nie widziałem...

A publiczność muzyczna, teatralna? — Nadzwyczajna. Może chłodniejsza, może nie tak łatwo „porywana" jak nasza, może mniej spontaniczna. Ale wierna, pewna i nie zawodząca. Można na niej polegać. Można tworzyć w oparciu o nią plan kulturalny; można się na nią powołać przy realizowaniu tego planu — nie zawiedzie. Widzieliśmy ją w Ostrawie na operze Smetany „Dalibor"; podglądaliśmy ją w Brnie na Czapkowym „Rozbójniku" w „Svobodném Divadle". Chłonna i czujna, krytykuje, ale życzliwie, bez ironii. W obu wypadkach sala pełna, choć przedstawienie już któreś tam z rzędu. W Ostrawie dużo górników na sali; — zawsze wiele młodzieży.

W tejże Ostrawie, u wejścia do teatru tablica z napisem: „dziękujemy Wam za to, że się nie spóźniacie na przedstawienie". I to wystarcza. Proszę mi wierzyć; wystarcza w zupełności.

Za to w kinach, których jest znacznie więcej niż u nas, raczej pusto; filmów dużo, jest w czym wybierać, czeskie i dobre zagraniczne. Zaledwie dwa tytuły sensacyjne.

I jeszcze jedno: publiczność literacka.

Widzieliśmy jej dużo. Na recitalach czeskich i na naszych własnych. Reaguje doskonale, jest wrażliwa, ale co nam się wydało najważniejsze: jest przygotowana. Słucha uważnie, rozumie. Czytaliśmy tam swoje wiersze i prozę, sami, nie najlepiej, jak kto umiał. I zawsze ta sama, pełna zrozumienia cisza, zawsze te same oczy, wpatrzone w nas, wpatrzone rzekłbym w sens polskiego słowa, w istotę i treść brzmienia.

Rozumieli wszystko. Stwierdzaliśmy to później w dyskusjach; pytali zawsze o rzeczy najistotniejsze. Dobra to publiczność, pełnowartościowi konsumenci literatury. Nie dziw, że gdy przed kilkudziesięciu laty powstała w Brnie instytucja wydawnicza, do której częściowo upodobnił się nasz „Klub dobrej książki" — po książkę sięgnęło wiele tysięcy rąk. Dzisiaj „Morawskie Koło Pisarzy", które patronuje temu wydawnictwu, wydaje dla swoich abonentów dwadzieścia kilka pozycji rocznie; ponad 400 książek szło tego dnia w ręce odbiorców. Widzieliśmy oczy Prokupka, gdy nam mówił o osiągnięciach „Koła" — i to nam wystarczy. Szczęść Boże — Václave!

Życzymy szczęścia i Twoim najmłodszym klientom i przyjaciołom, dla których założyliście: „Klub młodych czytelników". — Piękne książki dajecie im w ręce. Przestajemy się dziwić waszej publiczności literackiej. Wcześnie zaczynacie ją wychowywać.

Wiemy: Czechosłowacji nie zniszczył tak potwornie walec wojenny, jak nas, ale jednak zniszczył. Odwiedziliśmy znanego pisarza Vojtecha Martinka w jego domu, w Hrabówce pod Ostrawą. Pokazywał nam fotografię z czasów wojny. Na jednej z nich widniał dom Martinka, bez szyb, z nadwątlonym dachem. Z drugiej fotografii patrzy ku nam młodociana, jasna twarz — to syn pisarza; zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym...

To jest właśnie Czechosłowacja.

Pozdrawiam Ją z daleka, ale nie za gościnę — gościnność jest znaną cechą Słowian, — pozdrawiam Ją za serce i rozum, za pieśń i pracę, za ruiny Lidic i kominy Ostrawy.

Aleksander Baumgardten.

Julie Šimplová.

Na linii Śląska

Na linii śląskiej Katowice — Ostrawa od niedawna widać ożywiony ruch. Na naszych oczach dokonuje się wielka wymiana między obu częściami Śląska. W wymianie tej, odnoszącej się w równej mierze do wartości duchowych jak i materialnych, postanowili wziąć także udział pisarze śląscy. Miał rację kiedyś na tym miejscu Paweł Kubisz, udowadniając, że prawdziwa przyjaźń polsko-czeska nie może się odbywać z pominięciem Śląska. Śląsk jako brama do Czechosłowacji, jako linia graniczna nie dzieląca ale zszywająca dwa organizmy państwowe w ich najczulszym pod każdym względem punkcie, musi dawać przykłady przyjaźni niesentymentalnej ale rzeczowej, realnej, zdolnej do prawdziwych wyrzeczeń, przykłady umiaru serca. Pawła Kubisza wówczas wyśmiały pisma polskie od „Nowin Literackich" począwszy na wrocławskim „Kurierze" skończywszy. Rozwój powojennych stosunków polsko-czeskich coraz bardziej jednak potwierdza słuszność Kubiszowej polityki.

Literacki obraz czeskiego Śląska bardzo jest zbliżony do obrazu literackiego naszego Śląska sprzed minionej wojny. Szlachetny regionalizm — z separatyzmem literackim Ondry Łysohorskiego i jego uczniów skończono zdaje się tu ostatecznie — objawia się nadal tak na kartach literatury jak i w literacko-artystycznym życiu organizacyjnym Nasz Morcinek ma tam swój odpowiednik — Wojtiecha Martinka, górnośląski Imiela (nb. laureat nagrody literackiej miasta Katowic z roku 1939 o czym nikt już dziś w Katowicach nie pamięta — ostrawskiego Bohumiła Marka, płodny Fran. Smieja z Opawy charakterem swej twórczości bardzo przypomina zmarłego przed dwoma laty Ludwika Kobielę. Analogie można by mnożyć, podobieństwa objawiają się liczne i ciekawe. O ile jednak środowisko ostrawskie w zamierzonym przed laty kierunku żyje i rozwija się, o ile jest liczniejsze a w swym regionaliźmie głębsze, o tyle na Górnym Śląsku nastąpiły pewne przemiany; regionalizm literacki po wojnie zaczął tu zmierzchać skoro tylko czołowi pisarze grupy górnośląskiej objawili w twórczości swej chęć włączenia się w ogólnopolski nurt literacki. Niemniej nasz Śląsk potrzebuje pisarzy regionalnych, ludowych, choćby tylko po to, by odzyskana ludność opolska mogła drogą tej naturalnej ewolucji przejść w szeregi doświadczonych odbiorców polskiej literatury.

Wymiana literacka obu Śląsków ma zatem swój głęboki sens. Powinien się nią zainteresować jeszcze taki ośrodek jak Opole, pozbawiony niestety pisarzy ale za to wydający swoje pismo, przeznaczone — o czym trudno się dowiedzieć z treści — dla odzyskanej ludności rodzimej. Jeśli zaś chodzi o kontakty osobiste między pisarzami, to spełnić mogą one doniosłe zadanie pogłębiania przyjaźni polsko-czeskiej właśnie dlatego, że odbywają się na czułej linii śląskiej. Do współpracy z naszej strony wciągnięty został także ośrodek wrocławski podczas gdy pisarze czeskiego Śląska przedłużyli linię przyjaźni i współpracy aż do Brna na Morawy.

Wizyta pisarzy z Katowic i Wrocławia w Czechosłowacji była odpowiedzią na wizytę pisarzy czesko-śląskich na Górnym Śląsku z końcem listopada ub. roku. Na wiosnę przybędzie do Katowic, Wrocławia i Szczecina grupa pisarzy morawskich. Morawskie Koło w rozmowach z nami wyraziło chęć wydania antologii współczesnej poezji polskiej. Książka wyjdzie jeszcze w tym roku. Równocześnie oddział śląski Związku Literatów poświęci drugą serię swego „Arkusza Śląskiego" współczesnym poetom czeskim w przekładach polskich. Współpraca przybiera kształt trwały i dokumentowany pracą wydawniczą.

Wilhelm Szewczyk

P. S. Wizyta nasza na czeskim Śląsku honorowana była serdecznie także przez czeskie władze administracyjne. Mimo, iż nastąpiła bezpośrednio po nużącej wizycie górnośląskich czynników wojewódzkich, czescy przedstawiciele miejscowej władzy znaleźli czas by nas powitać, by z nami porozmawiać. Wspominam o tym dlatego, że odwiedziny pisarzy czeskośląskich na Górnym Śląsku nie zostały zauważone przez wojewódzkie czynniki kulturalne nie mówiąc już o administracyjnych. Ani wojewódzki naczelnik kultury i sztuki ani Wojewódzka Rada Kultury, która nb. odmówiła nam pomocy przy przyjęciu i ugoszczeniu czeskich gości, nie wydelegowali swych przedstawicieli na wieczory literackie czeskich gości, nie zainteresowali się programem ich pobytu na Śląsku. Jedynie Sosnowiec spisał się dzielnie — Brawo Magistrat! Brawo Klub Literacki!

Sz.

Jak. Šenk.

„Przeczucie"
Marii Pujmanowej na ekranach czeskich

Fragment z filmu „Przeczucie".

W ateliers barrandowskich w Pradze kończy reż. Vavra swój ostatni film z życia dorastającej młodzieży szkolnej pt. „Predtucha". Jest to dramat 14-letniej dziewczyny, która dla przygodnego hochsztaplera wyrzekła się miłości do rodziców. Akcja, pozornie mało filmowa, kiedy wziąć pod uwagę samą powieść. Wszystko rozgrywa się na przestrzeni jednego dnia. Odtwórczyni roli głównej, młodziutka Natasza Tańska jest nowoodkrytą gwiazdą ekranu czeskiego. Pomimo silnej zawodowej konkurencji sąd konkursowy przyznał jej rolę bohaterki dramatu, Jarmili.

Trzeba przeczytać i przestudiować „Przeczucie", by pojąć, jak ciężkiej i subtelnej roli podjęła się 17-letnia Natasza. „Przeczucie" Marii Pujmanowej, które należy do najlepszych pozycyj poczytnej autorki, ukaże się w najbliższym czasie w tłumaczeniu polskim, nakładem „Czytelnika". Sam film oglądać będziemy na ekranach polskich dopiero w przyszłym roku. (ak)

»Krakowiacy i Górale«
w Czechosłowacji

Ostrawa, w grudniu 1947.

Przed miesiącem wjechał na tory czechosłowackie najcięższy podobno pociąg osobowy poruszający się po kolejach tego państwa. Był to pociąg Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Obecnie, po kilkunastu przystankach w największych miastach Czechosłowacji, w Pradze, Kładnie, Ujściu nad Łabą, w Teplicach, Karlovych Varach, Pilźnie, Budziejowicach, Bernie i Bratysławie, w Zlinie, Ołomuńcu i Opawie, zatrzymał się na dwa dni u nas w Ostrawie. Już forma zewnętrzna tej wyprawy, w której dawne wozy wędrowne zastąpiono kolejowymi, przypomina nam czasy z końca XVIII wieku, z którego również kierownictwo teatru łódzkiego wybrało swój dokumentarny historyczny temat, melodramat Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i górale".

Do serca widowni przemówił zaraz wstęp przedstawienia, kiedyto aktor i aktorka warszawskiego Teatru Narodowego z XVIII stulecia objaśnia zebranym nie bez trudu płynącym językiem czeskim znaczenie dramatu, który jest pełny idei powstania kościuszkowskiego, myśli o równości, jedności i sile wyzwolonego ludu. A właśnie ten język czeski, zabarwiony (o Ty tak bardzo mi bliska i miła aktorko, wybacz) takim dziwnym, — cóż ukrywać — złym akcentem, zdaje się być sercem polskiego ludu, które nam goście z Łodzi przynieśli. Mało chyba było takich, których ta serdeczność nie wzruszyła. Zresztą podobnie serdeczny jest cały wieczór, tak samo bliski jest sam utwór. Prosta sielanka, tak bardzo podobna w swych pierwiastkach do utworów czeskich tego typu, pełna humoru, szczerego, jędrnego dowcipu, rozwija się przed podnieconą widownią. A nagle ku ogólnemu zdziwieniu wśród tego humoru pojawi się silna rewolucyjna myśl, tęsknota ludu do wolności, do praw. A student wędrowny znowu sposobem pełnym humoru jednoczy powaśnionych chłopów krakowskich i porywczych górali w jeden szyk. To wszystko dzieje się w malowniczych strojach, w scenach zbiorowych, pełnych ruchu, tańca i artystycznych zestawień.

Widownia czechosłowacka, która zna dobrze wyrafinowany humor nowoczesny i często aż ascetyczną prostotę dekoracji swych scen, była zachwycona tą prymitywną a żywiołową akcją rozwijającą się na malowniczym tle wioski podkrakowskiej. I choć u aktorów widoczna również była ta prostota a nie rafinowane szczytowe podanie artystyczne, to nikt im tego nie bierze za złe. Przeciwnie było to coś, co pogłaska, wywołuje uśmiech radości, co dotrze aż do serc szerokich warstw społeczeństwa.

Uważam, że to również było głównym celem wszystkich występów. Stwierdził to zresztą sam dyrektor i reżyser Leon Schiller, który tak samo, jak cały jego zespół w miłych, z serca do serc płynących słowach wyraził swoją radość z udanej wizyty w Czechosłowacji i dziękował społeczeństwu czeskiemu za zrozumienie i zaufanie. Oto jego ostatnie słowa: „Poznaliśmy się i pokochali — obyśmy nigdy nie zapomnieli!"

A my przyrzekamy, że o jego zespole teatralnym, który kocha swoją pracę i tworzy sercem i duszą, nie zapomnimy. Przecież bez przesady z radością musimy powiedzieć, że przemówiliście do naszych serc, pozwoliliście nam sobie uświadomić, jak bardzo jesteśmy sobie w naszym rozwoju i w całym naszym życiu bliscy!

Jirzina Urbaňková.

Tłum. MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

Langdon, rządca, towarzyszył memu szwagrowi w drodze do Launceston. Było to rzeczą ze wszech miar korzystną, gdyż wykluczało zupełnie możliwość zdrady. Ciągle jednak stał przede mną nierozwiązany problem: jak się dostać do mych biednych więźniów i dostarczyć i żywności i wody, a przede wszystkim podpory moralnej.

Godziny wlokły się w straszliwej, tępej nudzie. Gdzieś daleko jakiś pies zaczął ujadać. Jak gdyby głos ten był umówionym sygnałem, poczułam na policzku świeży, chłodny powiew. Usiadłam na łóżku, w naprężeniu oczekiwania. Przeciąg nie ustawał dobywając się spod wiadomego arrasu.

— Janku... — szepnęłam cichutko. Usłyszałam ruch za arrasem, jakby chrobotanie myszy. Ujrzałam rękę wysuwającą się zza arrasu powolutku, ukradkiem i odsuwającą go na bok. Jakaś postać wyczołgała się stamtąd na czworakach i podpełzła do mego łóżka.

— To ja, Honorata — odezwałem się cicho, a wtedy niespodziany gość wspiął się na łóżko i drżąc, legł przy mnie.

Był to Dick. Ubranie, wciąż jeszcze wilgotne, oblepiało chłodem jego ciało. Zaczął płakać, bezgłośnie, długo, z wyczerpania i strachu. Przytuliłam go do siebie, ogrzewając, jak tylko mogłam, a gdy się uspokoił, szepnęłam:

— A gdzie Janek?

— Zemdlał tam na schodach — odrzekł. — A ja chwyciłem ten długi sznur, który wisi nad schodami i pociągnąłem, a ruchomy kamień w ścianie wtedy się obrócił i zrobiło się przejście, no i wszedłem tutaj. Już mnie nic nie obchodziło. Nie mogłem już tam wytrzymać, Wasza Miłość! Tam jest ciemno, jak w smole i bardziej ciasno, niż w grobie!...

* * *

Gdy tylko pierwsze smużki szarego światła zaczęły się wsączać przez okno do pokoju, kazałam Dickowi zapalić świecę i wpełzać na powrót do kryjówki. Dręczył mnie straszny niepokój, że to brak powietrza przyprawił Janka o utratę przytomności, a że Janek nie był bynajmniej Herkulesem, wołałam nawet nie myśleć, co się mogło z nim stać w ciągu nocy. Jeszcze nigdy przez całych szesnaście lat mego kalectwa nogi nie były mi tak potrzebne, jak w tej chwili. Poczucie zupełnej bezsilności było wręcz straszne. Po krótkiej chwili Dick ukazał się znowu; jego drobna, widmowa twarzyczka wydała mi się jeszcze bledsza w świetle poranka.

— Jest przytomny — rzekł Dick — ale bardzo chory.

Chwała Bogu, przynajmniej jest żywy! Fala ogromnej wdzięczności zalała me serce. Ale opis Dicka pozwolił mi się domyślić, co się stało. Był to nowy atak malarii, z którą Janek przyszedł na świat. Atak rozpoczął się ze zwykłą gwałtownością, co nie było niczym dziwnym po dziesięciu godzinach, spędzonych w ciasnym zamknięciu wewnątrz szkarpy. Szybko powzięłam decyzję. Kazałam Dickowi przysunąć mój fotel jak najbliżej łóżka, tak, żebym mogła w nim usiąść. Potem zbliżyłam się do drzwi i bardzo cichutko zawołałam Matty. Joan odpowiedziała coś sennym głosem i któreś z dzieci poruszyło się na łóżeczku.

— Nic, nic — powiedziałam uspakajająco — chciałam tylko zawołać Matty.

Za parę minut dziewczyna wyszła ze swego pokoju. Jej okrągła, płaska twarz wyzierała spod wielkiego czepka; tłumione ziewanie zmuszało ją do robienia najdziwaczniejszych grymasów. Na widok Dicka oczy jej zrobiły się zupełnie okrągłe.

— Matty, wierzę, że jesteś mi oddana — powiedziałam poważnie. — Teraz właśnie tak się złożyło, że bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję dowodu tego oddania. Życie i bezpieczeństwo tego chłopca spoczywają w naszych rękach.

Szybko pokiwała głową, nic nie odpowiadając.

— Dick i Jegomość pan Janek ukrywają się od wczorajszego wieczora. Tu, wewnątrz tych grubych murów jest maleńki pokoik i schody, które do niego prowadzą. Jegomość pan Janek jest chory. Chcę, żebyś tam zeszła i przyniosła go tutaj. Dick cię tam zaprowadzi.

Dick odsunął arras i teraz dopiero po raz pierwszy zobaczyłam, jak było zrobione tajemne wejście. Blok kamienny, wielkości jakichś czterech stóp kwadratowych, umieszczony na zawiasach, poruszało się za pomocą dźwigni i liny, którą się ciągnęło, stojąc na wąskich schódkach. Powstawał wtedy otwór, przez który w sam raz mógł się przeczołgać dorosły mężczyzna. Kiedy otwór był zamknięty, kamień tak dokładnie przystawał do kamieni, które go otaczały, że w żaden sposób nie można go było również odsunąć go od tej strony, gdyż podpierało go ramię dźwigni.

Matty, wyglądająca w nocnym stroju i czepku, jak jakaś fantastyczna zjawa, zaczęła się przeciskać przez ciasny otwór w ścianie. Było coś niesamowitego i strasznego w tej osobliwej scenie.

Nie upłynęło, jak sądzę, ani 15 minut, jak wszyscy troje znaleźli się w mym pokoju, chociaż mnie się zdawało, że musiała już minąć cała godzina. W ciągu tych 15 minut światło dnia napełniło pokój, a z dołu, z dziedzińca, zaczęły dolatywać odgłosy krzątania się jeźdźców. Janek był zupełnie przytomny i umysł miał nie zaćmiony, ale zdatny był jedynie do położenia się do łóżka i poddania troskliwej opiece żony. Odbyliśmy krótką naradę, w czasie której nastawałam usilnie na jedną tylko rzecz: mianowicie — by przed nikim już więcej nie zdradzić tajemnicy pobytu Dicka pod naszym dachem. Sposób, w jaki Janek dostał się do domu miał również pozostać naszą tajemnicą. Umówiliśmy się wobec tego, że Janek będzie mówił, iż wiadoma łódź przybiła do jednej z przystani po drodze, gdzie wysadzili Dicka na brzeg. Wracając potem przez pola zobaczył przyjazd pułku konnicy do Menabilly, wobec czego ukrył się w gąszczu do zmroku. Czując jednak zbliżający się atak choroby, postanowił się dostać do domu, wspiął się więc po rynnach i pnączach, okrywających południową ścianę dworu, aż do okna pokoju ojca.

By opowieść wyglądała wiarygodnie, Janek musiał natychmiast udać się do pokoju ojca, gdzie w tej chwili spała jego macocha i zdobyć sobie jej wiarę w prawdziwość tego opowiadania. Gdy Matty wróciła, niosąc wiadomość, że Janek jest już bezpieczny w pokoju swego ojca, wiedziałam już, że pierwsza część naszego zadania została szczęśliwie wykonana. Dla wykonania drugiej musiałam stłumić w sobie lęk i odnieść się do Dicka w sposób surowy i autorytatywny, choć daleka byłam w tej chwili od poczucia pewności siebie. Miałam mu bowiem oznajmić, że może pozostać w moim pokoju, ale że musi być przygotowany na to, iż czekają go być może długie godziny, spędzone w zamknięciu, w celce wewnątrz szkarpy.

Kazałam Matty wyjąć materac z mego łóżka, zabrać stołek spod okna i parę pierzyn i wepchnąć to wszystko na schodki przez otwór w ścianie.

— Kiedy tylko będziesz mógł bezpiecznie stamtąd wyjść, dam ci znak — powiedziałam mu.

— Ale jak Wasza Miłość to zrobi, kiedy dziura będzie zamknięta? — zapytał.

Oto znów problem z ubiegłej nocy, nierozwiązany stanął przede mną. Miałam ochotę zapłakać ze znużenia i zdenerwowania. Spojrzałam na Matty z rozpaczą.

— Jeżeli by się troszeczkę nie domknęło tej dziury — rzekła Matty — i zostawiło się szparkę na jakieś trzy cale, to gdyby pan Dick przyłożył ucho do ściany, mógłby usłyszeć głos Waszej Mości.

Zrobiliśmy próbę i chociaż ten plan nie zadawalał mnie w zupełności, było to jedyne rozwiązanie problemu. Przekonaliśmy się również, że jeśli się zostawi małą szparkę w ścianie, Dick może usłyszeć stukanie patykiem w podłogę. Wobec tego ustaliliśmy sobie sygnały, którymi były jedno, dwa, lub trzy uderzenia. Trzy oznaczały prawdziwe niebezpieczeństwo i wtedy Dick miał jak najszybciej zasunąć otwór całkowicie.

Nie wiem, co bym była zrobiła bez Matty. Ona to pełniła służbę niezmordowanego wartownika, broniąc sprytnie wejścia do mego pokoju wtedy, gdy Dick przebywał tam ze mną. Musiałam biedakowi pozwalać na to często i to w najlepszych porach dniach. Na szczęście kalectwo było, dla mnie zawsze doskonałą wymówką: wszyscy bowiem wiedzieli, że dawniej często miewałam swoje „złe dni", kiedy musieli zostawić mnie samą. Było to teraz moją główną obroną.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Žoža Loubalová

W sprawie mowy Pana Prezydenta RP.

W dniu 16. XI. br. z okazji otwarcia nowej stacji nadawczej we Wrocławiu, zakończenia festiwalu muzyki słowiańskiej i zjazdu literatów Pan Prezydent RP. wygłosił pierwszą swoją mowę, poświęconą całkowicie zagadnieniom kulturalnym odrodzonej Polski. Jest to mowa ustalająca w głównych zarysach kierunki i cele naszej polityki kulturalnej, a więc wypowiedź dla pracowników kultury szczególnie ważna i podstawowa.

Tekst tej mowy przeszedł przez prasę codzienną i dziś jest trudno dostępny dla tych, którzy mają politykę kulturalną rozplanowywać w szczegółach i realizować ją. A jest rzeczą dużej wagi, by tekst ten był spopularyzowany i znany powszechnie. Wydaje się więc konieczne osobne wydanie tej mowy drukiem podobnie jak np. uczyniono w Czechosłowacji z mową Prezydenta Benesza wygłoszoną na zjeździe pisarzy.

Drugi miesiąc upływa już od tej mowy, a nikt jeszcze o tym nie pomyślał. Jeszcze nie jest za późno. Jest ona nadal aktualna, a raczej powiedzieć można, że w najbliższych kilku miesiącach aktualność jej jeszcze wzrośnie. (ki)

ALEKSANDER WIDERA

Ballada
o krótkowzrocznych aniołach

Nad światem u niebios wieczornych powały
na skrzydłach jak złote pegazy wisiały
świecące wśród planet i gwiazd ideały
anioły anioły anioły anioły

Na świecie tymczasem wojennej głos pieśni
podpalał narody zabijał i kreślił
historię na gruzach lecz w niebie powieści
pisały anioły anioły anioły

Po wojnie na świecie pod niebios powałą
jak w ulu zawrzało i tyle się stało
że słów na opisy brakuje lecz chwałą
niewiele sprawiły anioły anioły

Cichymi jak muzyka sfer melodiami
górnymi i zbyt odległymi oczami
słabymi jak wzrok i jak słuch promieniami
i tchem nie dosięgły do ziemi anioły

TADEUSZ MIKULSKI

Anna Kowalska

Twórczość Anny Kowalskiej rozpada się na dwa okresy, które przedzieliła wojna. — Okres pierwszy, obecnie zamknięty, upłynął na uprawianiu pisarstwa przez spółkę autorską: Annę i Jerzego Kowalskich. Tak spleciony podpis pojawia się na kartach tytułowych czterech książek, datowanych w latach 1931 do 1936. Debiut pracowni stanowiła książeczka „Catalina", wydana z wielkim smakiem przez księgarnię B. Połonieckiego we Lwowie (1931), gorący kantyk miłosny, który korzysta z wzorów liryki starożytnej, by przedstawić miłość w życiu dziewczyny hiszpańskiej. Niebawem wyszedł z druku tom „Mijają nas", przezwany niesłusznie powieścią (Hoesik 1932). W istocie przynosił on cykl nowel, doskonałej i niemal wyrównanej jakości, których tematy napotkali autorzy w czasie podróży po Hiszpanii. Raz jeszcze — od czasów schematu kompozycyjnego Cervantesa i Sterna (a nie nadaremno przywołuje się tutaj te imiona!) — podróż posłużyła pisarzom, jako oś literacka do swobodnie komponowanej książki. Mijają nas na tych kartach ludzie i zdarzenia, widziane oczami imaginacyjnej pary turystów, których sceptycyzm intelektualny, zaprawiony pyszną ironią, ogarnia pejzaż, charaktery i siebie samych. Książka następna „Złota kula" (Rój 1933) potwierdziła wybór gatunku literackiego, którym została dla Kowalskich „opowieść" (nie mówiło się wówczas: opowiadanie, jak dzisiaj), poddana zawsze bardzo ciekawej konstrukcji i cyzelatorstwu świadomemu. Gdy w parę lat później ukazała się drukiem wielka powieść Kowalskich „Gruce" (T. 1—2, Hoesick 1936), o rewelatorskiej naówczas tematyce społecznej, fascynująca w szczegółach, formułach i postaciach, ale zgodnym zdaniem „niedość zorganizowana", należało przyjąć, że naturalną formą twórczości autorów był szkic nowelistyczny lub epicka rozlewność opowiadania, nie zaś konstrukcja powieściowa.

Podobne przymierze literackie jest wydarzeniem bardzo rzadkim w polskiej literaturze, która od dawna nosiła cechy indywidualistyczne. Pod tym względem cały program twórczości potrafimy wydobyć z deklaracji Kochanowskiego „Sobie śpiewam a Muzom". Całymi stuleciami stała polska literatura talentem pisarza, który nie poddawał się dyscyplinie zbiorowego warsztatu literackiego. Ten stan rzeczy zastanawia szczególnie przy porównaniu z życiem literackim w innej kulturze, np. francuskiej. We Francji silny udział techniki w twórczości wyraża się także obyczajem występujących często par autorskich, i to zarówno w zakresie twórczości trwałej, jak także przy księgarskiej eksploatacji talentu.

Związek pisarski Anny i Jerzego Kowalskich, zawarty na okres czterech książek, jest umową, która obowiązywać musi także krytyka literatury. Niejednokrotnie napastowano oboje pisarzy pytaniami: jak piszecie? jak piszecie razem? Odpowiedzi w tym zakresie, które przechodziły przez prasę literacką, pozwalały ocenić tę dziwnie solidarną technikę twórczości, objaśniając także ogólne prawa pisarstwa.

Ale tylko w nieznacznym stopniu ciekawość czytelnika, który wiązał poszczególne partie książek z piórem jednym lub drugim, ulegała nasyceniu. Domysły, wypowiadane przez krytyków, np. z powodu „Złotej kuli", okazywały się przy podobnych eliminacjach sprzeczne i nieprawdziwe. Można wątpić, czy stosowanie takiej chemii analitycznej: rozdział cech i elementów w twórczości jest słuszne i w ogóle zgodne z założeniami przymierza pisarskiego Kowalskich. Książki pisane razem muszą pozostać wspólną własnością w krytyce, jak i w bibliografii.

Jeśli mimo wszystko pociągnięci próżną ciekawością, zapragniemy wymierzyć, co w tym dziele zbiorowym jest Anny Kowalskiej, pewną pomocą okażą się słowa Jerzego Kowalskiego w wywiadzie „Lwowskich Wiadomości Muzycznych i Literackich z roku 1933 (N. 78):

— Bo, proszę pana, moja żona przynosi cały świeży, dyszący realnością świat do domu. A ja to wszystko przetrawiam...

Informacja ta, przy całej swojej ogólnikowości, może potwierdzać wyczucie krytyczne Kadena Bandrowskiego, gdy z powodu „Złotej kuli" szukał w tej książce wdzięku oschłości (a więc elementów intelektualnych, łagodzonych przez emocje) oraz znajdował bezpośredniość i prostotę. Resztę — to znaczy filologiczne ustalenie autorstwa — trzeba zostawić badaniom rękopisów Kowalskich, jeśli zdołały przetrwać dla filologa.

Ten pierwszy okres w twórczości — okres współpracy — został przecież zamknięty. Oboje pisarze, ogłosiwszy wspólnie powieść „Gruce", piszą teraz osobno. Nawet nie wszystkie plany literackie, niegdyś żywione, doznały realizacji wydawniczej, np. powieść „Placyl", podwójnego pióra, zapowiedziana w r. 1932, nie została dotąd ogłoszona drukiem. Niezależnie od tego, czy w szufladach domowych znajdują się być może rękopisy wspólnego autorstwa, mówić trzeba, że Anna Kowalska rozpoczęła obecnie (w druku od r. 1945) drugi rozdział pisarstwa — samotnego.

Przyczyny podobnej decyzji należą do intymnych sekretów twórczości i trudno je ustalać w sposób ścisły (podobnie jak uchyliliśmy się od jasnego rozgraniczenia tekstów zbiorowego autorstwa).

Świat, „dyszący realnością", zapragnął znaleźć dla siebie formę własną, uwolniwszy się spod przewagi sił intelektu. Ale z długoletniego związku z władzami intelektu zapewnił sobie zdobycz wyjątkowo cenną: szkołę kompozycji. Realizm Anny Kowalskiej w drugiej fazie pisarstwa, chłonny i bogaty, szuka dla siebie formy, której rygorom poddaje się bez szemrania. Jest to realizm zdyscyplinowany.

Z dawnego okresu pozostały jeszcze tematy. Wątek turystyczny, z którego rozwinęła się wyborna książka o Hiszpanii „Mijają nas", zawiódł pisarkę do Grecji. W poszukiwaniu świata helleńskiego, który otwiera swe tajemnice podróżnym erudytom, Anna Kowalska napotkała świat drugi: współczesny. Wtedy jął narastać w notatniku turystycznym zespół wrażeń, charakterystyk, pejzażów, które obecnie oglądamy w druku (w „Zeszytach Wrocławskich").

Jest to Grecja nieznana. Wiedza o kraju starożytnym nie dozwala dojrzeć współczesności. A gdy mimo to współczesność zaczyna oblegać turystę, szelest kart w przewodniku odbiera obserwacjom świeżość i bogactwo. Obrazy widziane po oberżach i na gościńcach Grecji przez Annę Kowalską, mają cechy autentyków, wolnych od jakiegokolwiek pośrednictwa.

Wytrwałe współżycie ze starożytnością prowadzi również do dokumentów. Ale z nich także pisarka potrafi ułożyć obrazy (zob. fragment cyklu „Wnukowie Romulusa", „Odra", 1947, Nr 43/44), w których prawda dokumentu eksponuje tylko prawdą żywą.

Inne prace literackie Kowalskiej odmieniły i klimaty. Przez periodyki literackie lat 1946 i 1947 przewinęła autorka cykl opowiadań z życia wsi polskiej czasu wojny. Jej ciekawość do egzotycznego folkloru, poświadczona przez notatki z Hiszpanii i Grecji, już dawno przeniosła się na polskie drogi (zob. powieść „Gruce"). Ale nie są zainteresowania — nawet z pozoru — antykwaryczne. I w tym świecie Anna Kowalska widzi nade wszystko człowieka, który żyje w odrębnej rzeczywistości, materialnej i uczuciowej. Wojna, przetoczona nad naszymi głowami, sprawiła, że dość często w tej rzeczywistości — np. w kieleckim Sichowie — pojawiał się przybysz z miasta. Nie ograniczył się na szczęście do zanotowania kilku wariantów piosenki, nieznanej Kolbergowi. Obserwator życia wiejskiego wyniósł dla Anny Kowalskiej całe naręcza scen, konfliktów, pomysłów postaci, uwikłanych w pasje jawne lub skryte. Są to namiętności, proste jak u ludzi antycznych i zawiłe, jak u ludzi nowoczesnych. Tu także oglądamy świat „cały świeży, dyszący realnością". Ale pisarka uzyskuje doraźnie właściwy stosunek estetyczny wobec materiału. Opowiadanie „Za trudne szczęście" (Odra, 1947, Nr 7-8) daje obraz okupacji niemieckiej na wsi, pełnej trwogi. Ale autentyczną wersję niedawnego przeżycia potrafi uwolnić od wszelkich akcentów pamiętnika, a więc dokumentu biograficznego, zapewniając dziełu rysy historii prawdziwie ludzkiej. Opowiadanie „Czerwone rękawiczki" (Zeszyty Wrocławskie, 1947, Nr 2) podejmuje zagadnienie szerzenia kultury na wsi i łatwo może popaść w niebezpieczeństwo publicystki. Czujność pisarki sprawiła, że także problem z zakresu bieżącej aktualności kulturalnej uzyskał wysoki wymiar artystyczny.

Na trzecim szlaku uprawia Anna Kowalska tematykę wrocławską. Czyni to w nowej zupełnie formie literackiej: krótkiej — zapiski, pozornie kronikarskiej, którą znamy z „Notatek wrocławskich", ogłaszanych w „Nowinach literackich", czy „Parabol wrocławskich", które pojawiły się w „Odrze". Wybór formy poprzedziło pewne wahanie: czy utrzymać się w ramach i zasięgu impresji literackiej (zob. szkic „Nad Odrą" — „Odra", 1946, Nr 40), czy szukać formy z pogranicza literatury i publicystyki (doskonałe „Chętne konie i paszkoty", jakże trafnie wyrażające rzeczywistość wrocławską w tym podziale na konie robocze i paszkoty, krewniaki kosów, ptactwo leniwe i pasożytujące — dwutygodnik Warszawa, 1947, Nr 2). Ostatecznie wybrała autorka formę trzecią: notatki opisowej, o zaznaczonych ledwie postaciach, wraz ze szkicem sytuacji lub pejzażu.

Przez notatnik Anny Kowalskiej przewija się żywy natłok sceny ulicznej lub zamkniętego wnętrza, które słowa rysują oszczędnie, jak kreski. W błahym pozornie materiale tej kroniczki, która omija ze szczęściem i talentem niebezpieczeństwo reportażu, oglądamy tematy Wrocławia, naniesione przez wiatr powszedni, pokazane z powściągliwym liryzmem, zawsze w sposób bardzo obiektywny, przez który z niezwykłą dyskrecją przeziera drwina czy ironia. Ale na ogół jest to „natura żywa" lub „martwa", która zdobywa sobie czytelnika — bez komentarza. Taką oto formę kompozycyjną, o cechach bardzo zwartych, znalazła Kowalska dla dokumentów życia codziennego. Posługuje się przy tym językiem dziwnej przejrzystości w słowniku i w składni.

Gdy szukamy teraz tła dla twórczości pisarki, nie ma powodu wahać się z wyborem. Tylko przelotnie obracają się karty jej rękopisów w miarę obrotu wiatraków z wioseczki Cervantesa La Mancza. Tylko ślady jednego tomu prowadzą do Sichowa przy rytwańskiej drodze, za postacią Krzysia, partyzanta z lasu kieleckiego. „Parabole wrocławskie", narastające żywo w notatniku Anny Kowalskiej, wiążą pisarkę z Wrocławiem, miastem jej pracy i działania.

Tadeusz Mikulski

ANTE DUKIĆ

Aforyzmy

Nieważne jest, ilu masz oszczekiwaczy i nieprzyjaciół; ważne jest, ilu ich zaczerwieniło się przed tobą.

*

Gdy megaloman padnie, nie wierzy, że upadł, lecz myśli, że go wywrócili inni.

*

Gdy urojona wielkość spostrzeże, że gwiazda jej zachodzi, podnosi się na palce, żeby ją jeszcze raz zobaczyć. I wtedy człowiek taki jest śmieszny po raz ostatni w swym życiu.

*

Nie rozpieraj się, jak gdyby cały świat należał do ciebie, ale też nie ustępuj przed drugimi, jak gdyby świat należał tylko do nich.

*

Jeśli nie jesteś panem swego czasu i przestrzeni, niewolnikiem jesteś, a nawet i nie wiesz czyim.

*

Nie dawaj swego czasu bogatszemu od ciebie.

*

Wygląda trochę dziwnie, że drugim kradną czas właśnie ci, którzy go mają najwięcej.

*

W każdym groszu powinieneś widzieć zmetalizowany swój znój i krew swoją; według tego też ceń go i wydawaj.

*

Jeśli język leci ci prędzej niż myśl, naucz się myśleć; jeśli myśl twoja jest szybsza od słowa, naucz się mówić.

*

Kobieta chętnie podsłuchuje — jak bije cudze serce.

*

Są i mężczyźni, którzy są ciekawi; lecz nie oni winni, że ich rodziła kobieta.

*

Czar i radość życia tworzą nie same kobiety, lecz i nasze piękne myśli o nich.

*

Wybieraj żonę według swego serca — i cudzego rozumu (jeśli w miłości stracisz swój).

*

Mężczyzna szuka w kobiecie swego żebra, z którego została stworzona; ona zaś szuka w mężczyźnie tamtego swego miejsca, gdzie było żebro. W prawie są oboje.

*

Miłość jest najbardziej boską pieśnią ludzkiego serca: wieczystą pieśnią, której się nie śpiewa, lecz przeżywa.

Dusza poety to struna, na której grają palce boże.

*

Niegdyś można było życie czytać powoli, a dziś ledwo je można przerzucać jak kartki.

Wybrał i przełożył z chorwackiego W. Bazielich

MIECZYSŁAW R. FRENKEL

Dzieje naszej mowy

„Język polski" *) jest książką pożyteczną. Wprowadza ona czytelnika w sam środek dociekań językowych i uczy go poznawać dzieje mowy, którą jako darmochę podjął poniekąd z powietrza, ziemi i otoczenia, nie wiedząc nic o kolejach jej powstania i historii jej rozwoju. Z jakich włókien krajowych i zagranicznych utkana została ta szata naszego wnętrza i świata zewnętrznego, z jakich powstała składników, co wpłynęło na zmiany jej kroju, co utrwalało się w niej i co z niej w biegu stuleci odpadło, uległo przeobrażeniu, zagłuszone zostało przez obce naleciałości, przez chwasty naniesiono z zewnątrz, sprawy to nie byle jakiej wagi i godne poznania.

Z pochodzi część całego słowiańskiego skarbca prasłowiańskiego nikowego zasobu wykształconego Polaka. Ten słowiański fundusz żelazny naszego języka zawiera tysiąc rzeczowników, 460 czasowników, 170 przymiotników, a innych części mowy 70. To prasłowiańskie wiano zachowało „znacznie więcej elementów z zakresu zjawisk związanych ze światem zewnętrznym oraz z materialną i społeczną kulturą człowieka niż z jego życiem duchowym".

Im głębiej w mroki średniowiecza sięgamy, tym skąpsze są pomniki naszego języka, zdawałoby się, że naród jak człowiek od niemowlęcia zaczyna i że my uprzytomnialiśmy sobie świat w języku naszych wychowawców jak dzieci arystokratów, znające lepiej języki obce sprowadzanych z zagranicy guwernantek i „nurse" nim **we własnym zaczęły** myśleć języku. Kulturom holowniczym należało więcej poświęcić miejsca i wyjaśnić ich wpływ w różnych fazach rozwoju języka polskiego.

Pierwsze ślady polszczyzny wprawione są sztucznie w łacinę bulli papieża Innocentego II z roku 1136 i wstydliwie w niej ukryte. Brak pomników językowych nie stanowi jednak dowodu, że naród był niemową, naród, jak wynika ze swojskich nazw miejscowości, mówił, ale był niepiśmienny. Zachodził tu podobny stosunek jak w systemie kapitalistycznym. Wyrażanie myśli na papierze jako środek produkcji było w posiadaniu kleru i reprezentowanej przez niego kultury holowniczej tym razem łacińskiej i kościół jako szafarz łask ziemskich i niebieskich szeroko z tego środka produkcji korzystał. Pismo znali wychowawcy jako klasa posiadająca, kler świecki i zakonny, niemieccy kolonizatorzy, przybysze z zachodu, czescy sąsiedzi. Kultura chrześcijańska oblekła „niemowlę" w swą szatę i uniwersalny język tej kultury przeniknął organizm narodu i językowi właściwemu, słowiańskiemu, jako rudymentowi wyznaczył rolę surowca podlegającego apreturze łacińskiej.

Żywiołowa siła naszego języka wytrzymała gniot łaciny, poddawszy się plastycznie pod jej wpływy i język polski wyszedł z tej walki obronną ręką. Pomogła mu w tym sama natura, zdrowy instynkt narodu, pieśń gminna, słowo karmione własnymi sokami. **Tej pieśni ludowej, niezapisanej, ponieważ pismo jako środek produkcji posiadała kultura holownicza, starszej zapewne niż pieśń Bogarodzicy, autor za mało poświęcił uwagi. Nie darmo na niej romantycy oparli swój program odrodzenia językowego.**

Wychowawcy, chcąc niechcąc, dopuszczać musieli język autochtonów do głosu, używając go dla celów propagandowych jako bełkotu (Mutterlaute) dziecięcego. dlatego pierwsze pomniki języka polskiego tworzą psałterze, kazania, pieśni kościelne, żywot św. Błażeja, bo tylko tą drogą trafić mogli do serc maluczkich i zdobyć ich ciemne dusze. W tych pomnikach zakonserwowało się pewnie wiele błędów językowych piśmiennych wychowawców. ich wad wymowy, a lingwiści z braku materiału porównawczego sprawy tej nie wyjaśnili. Gdyby francuskie guwernantki dziewiętnastego wieku, wychowujące polskie dzieci, spisywały dla potomności „Sonety krymskie" ze słuchu, brzmiałyby one bardzo z francuska i co najmniej dziwnie i byłyby monstrualnym zniekształceniem polskiego oryginału. Podobnie rzecz się przedstawiała w owych dawnych czasach z cudzoziemcami, posiadającymi sztukę pisania. Raz ustalony kanon pisania przyjął się i żywemu słowu ludu narzucił swoją szatę. Najazdy kulturowe wśród narodów o niewyrobionym jeszcze poczuciu odrębności miały większe powodzenie niż siła fizyczna najazdów zbrojnych, amplituda ich wpływów przez długie wieki zataczała szerokie kręgi i nadawała stylowi życiowemu narodu swoje cechy, dostosowując się do oporu pod kątem łamania się kontrastów z korzyścią dla „Beatus qui tenet".

Wpływ kultury łacińsko-kościelnej nie był wpływem odosobnionym. Łączył się on przyczynowo z kolonizacją niemiecką, jak przed tym częściowo z wpływami czeskimi, od dwu granic językowych szedł napór na język polski rodzący się w gmatwaninie gwar, wciskając się klinem w jego miękkie ciało. Niemiec był pisarzem miejskim, sołtysem, wójtem ławnikiem, Niemiec wyobrażał kulturę ciosowego kamienia i materialnego bogactwa, on zasiadał w stallach gotyckich kościołów, on był podmiotem magdeburskiego prawa, współautorem kodeksów i ortyli, skąpe zapiski sądowe w polskim języku z różnicami iloczasowymi przy odróżnianiu wymowy samogłosek długich i krótkich były często wykładem jego myśli i jego woli. Język polski wytrzymał i to. Jakuba Parkoszowica pierwszy traktat o ortografii polskiej przeminął wprawdzie bez echa, był jednak dowodem, że jakiejś tam potrzebie stało się zadość. W wierszu o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego przez mieszczan niemieckich w Krakowie wyrażony jest protest przeciw niemieckiej pysze mieszczańskiej i rządzeniu się Niemców na polskiej ziemi. Gniew i żal nie w łacinie lecz w polskim słowie upamiętnił zbrodnie panoszących się w Polsce Niemców i ustanowił dokument siły wyrazu tego języka jako wyrazu namiętności.

Rozpoczął się okres prężności Polski i wyrazem jej ekspansji staje się jej język narodowy. Rozrost terytorialny na wschodzie, poskromienie zakonu krzyżackiego jako wypadkowej ekspansji niemieckiej, poczucie słowiańskiej mocarstwowości i misja kolonizacyjna na kresach wschodnich przypadają na okres nowinkarstwa religijnego i odgłosu humanizmu renesansowego i w sumie dają Złoty Wiek zygmuntowski. Swoboda myśli i tolerancja ozdabiają rozkwit naszego humanizmu. Kultura polska nabiera pierwszy raz siły atrakcyjnej i promieniuje nie tylko na wschod, ale zniewala niemieckich drukarzy w Krakowie i niemieckie mieszczaństwo do posłuchu, przypieczętowanego wyrzeczeniem się niemieckości, bo jej siła uderzenia stępiała. Niemieckie mieszczaństwo asymiluje się i roztapia w świadomym swej roli otoczeniu polskim, aby nie uronić nic z korzyści polskiej ekspansji. Po niemieckiej kulturze holowniczej na pewnym odcinku naszego rozwoju językowego pozostanie bogaty zbiór słów i terminów technicznych, o których już Górnicki stwierdza, że „ich już nie mamy za niemieckie".

Złoty Wiek, najbujniejsza epoka naszego sescento jest krótkim i przełomowym wybuchem wyzwolonego spod łacińsko-kościelnej kuratelі języka polskiego. Jakby cudem wyrasta znikąd nie sam autor polski, lecz i jego czytelnik, łasy na słowo w ojczystym języku. Nagle zrozumiałym się staje piękno jędrnej mowy Górnickiego, Frycza-Modrzewskiego, Orzechowskiego, Reja, Kochanowskiego. Gdy Kolumb i jego następcy z Półwyspu Iberyjskiego odkrywali kontynenty, my, napatrzywszy się bliższego świata, odkrywaliśmy Bolonię i Padwę i wiedzeni swoistą marszrutą wynaleźliśmy swój własny język, aby wydobyć spod serca podziw dla rzeczy widzianych i niewyrażalnych w innym jak we własnym języku uczuć. Autor „Języka polskiego" nie podkreślił znaczenia tej eksplozji w naszym dziejowym pochodzie, tej rewolty samopoczucia narodowego i odrębności kulturalnej wprawdzie na przeciąg niewielu lat, lecz bez długiego przygotowania, jakie poprzedziło włoski renesans, niemiecką reformację, francuski humanizm, czy epokę elżbietańską w Anglii. Złoty Wiek polskiego humanizmu miał charakter spontanicznej iluminacji.

Eksportujemy kulturę polską daleko na wschód. Język polski rozbrzmiewa na kresach, świadczy o ogładzie towarzyskiej klas panujących w krajach sąsiednich, staje się narzędziem wymiany myśli, wykładnią prądów nurtujących ówczesną Europę. Powoli a stanie się wyrazicielem polskiej kultury holowniczej dla sąsiadów. Tolerancja i swoboda myśli dodała mu rozmachu. Nawet w Mołdawii ukazują się literackie próby pisane po polsku, gramatyki polskie dla Niemców — Wojny, Meninńskiego, Guthaltera-Dobrackiego dowodzą o powszechnym zainteresowaniu okazanym językowi polskiemu. Polska jako kraj tranzytowy sztuki włoskiej, propagowanej i szerzonej przez polskich rzemieślników i domorosłych artystów we wschodniej Europie, pośredniczy w wymianie dóbr kulturalnych.

Z kontrreformacją powtarza się najazd łaciny Alwara i Jezuitów. Ten drugi najazd, który nie mógł zepchnąć kwitnącego języka ze zdobytych w Złotym Wieku pozycji, wchodzi z nim w kompromis przesycając go makaronizmami i wypierając go ze świadomości nieodpornego na napływową kulturę społeczeństwa. Ta mieszanina polsko-łacińska w stosunku do pańszczyźnianego chłopa i dysydentów przeistacza się w nowe słowo pisane, w potęgę, w środek produkcji swawolnej opinii szlacheckiej. Polski barok językowy jest językiem warstwy panującej i jej kontrreformacją. Ciemnota i zabobon szerzą się nagminnie. Szlachecki gmin oparty na magnatach, władających olbrzymimi obszarami na kresach i podtrzymywany koneksjami z nimi, poddaje kmieci swojej jurysdykcji, ubezwładniając równocześnie do reszty element miejski przez zniesienie swobód mieszczańskich. Wywóz zboża produkowanego za bezcen przez chłopa przywiązanego do gleby wzbogaca magnatów, landlordów polskich i ich zubożałych na małych folwarkach zauszników drobnoszlacheckich oddaje na łup magnackich intryg i dążeń do zaokrąglenia fortun ich kosztów. W miastach niemieckich na zachodnich rubieżach wzbogacony na handlu zbożem polskim niemiecki patrycjat porasta w pióra i emancypuje się w supremacji polskiej Złotego Wieku. Resztki arian uciekają z kraju, bracia polscy idą w rozsypkę, język polski traci najwierniejszych swoich apostołów. **O klęsce języka w walce z zepsutą łaciną autor nie wspomina. Znakiem czasu jest nawrócenie się arianina Wacława Potockiego na katolicyzm. Autor zalicza go mylnie między pisarzy z Czerwonej Rusi, podczas gdy on rodem z Biecza.**

Śród walk na kresach i w czasie ich kolonizowania mieszanina polsko-łacińska przyswaja językowi słownictwo ruskie, białoruskie i tatarskie, używamy słów węgierskich, wołoskich i tureckich. O śladach słownictwa angielsko-szkockiego nie ma w książce wzmianki, są jednak pozostałości wpływów po zaciężnych regimentach cudzoziemskich i nadwornych chorągwiach magnatów, rekrutowanych ze Szkotów.

Następny etap rozwoju — stanowi kultura holownicza francuska. Zawody jej z barokową polsko-łaciną tzw. Sarmatów to zapasy obcego oświecenia z obcą ciemnotą. Osiemdziesiąt pięć procent narodu polskiego tj. chłopi nie bierze bezpośredniego udziału w tej walce, pozostając nadal w stanie niemowlęcym. Słusznie autor podnosi, że wpływy francuskie były niebezpieczne wskutek udziału kobiet w ich szerzeniu. Wdzięk i polor języka francuskiego przyczyniły się jednak walnie do regeneracji języka polskiego. Kultura holownicza w języku encyklopedystów i racjonalistów wywierała wpływ dodatni mimo zarzucanego jej szerzenia zepsucia obyczajów. Rokoko galwanizowało. Z francuzczyzną epoki stanisławowskiej łączą się wszystkie prądy postępowe i regeneracyjne, prace Komisji Edukacyjnej i polski klasycyzm. Język Krasickiego i Trembeckiego przeszedł przez filtr francuski, korzystali z niego romantycy i niemniej pozytywiści. **Epigonem tej kultury holowniczej wzbogaconej zdobyczami XIX w. dodatniej, jest Boy, który zajął stanowisko jej archiwariusza i kolektora. Pominął go autor i nie podał ocenie jako węgła gmachu tej kultury w Polsce.**

Ostatnie rozdziały dzieła prof. Lehr-Spławińskiego traktują o naszych czasach. Autor z czasów rozbiorów przytacza odpryski fragmentarycznych kultur holowniczych trzech państw, które weszły w posiadanie ziem polskich i w różnych odstępach czasu stosowały politykę językową dla celów eksterminacyjnych. Ucierpiała na tym terminologia techniczna i prawnicza. Przy pomocy chrestomatii, wypisami dokumentuje autor rozwój języka i stylu. Opuścił Karpińskiego tak cenionego przez Mickiewicza, nie zajął się gruntownie fenomenem samego Mickiewicza, który odrobił sam jeden wszystkie niedociągnięcia i braki i językowi nadał giętkość i b'ask, umożliwiające dalszy rozwój języka jako niezbędnego narzędzia pracy umysłowej, dostępnego dla najszerszych warstw.

O pisarzach ostatnich dwu pokoleń pisze autor stronniczo. Przeważa podskórnie podział na owce białe i czarne. Zamiast tych dwu kolorów zasadniczych możnaby podstawić inne kolory z palety politycznej. O pisarzach chłopskich słuszne uwagi dialektologiczne. Te ustępy należą raczej do historii literatury, a nie do monografii o języku polskim, jego pochodzeniu, powstaniu i rozwoju. O przedstawicielach samej nauki o języku, jej kustoszach z urzędu i porte-parole'ach autor nie wspomniał ani słowem. W książce gdzie często mówiło się o ścieśnionych samogłoskach należało pomyśleć i o nich.

*) Tadeusz Lehr-Spławiński: Język polski — pochodzenie — powstanie — rozwój. Biblioteka Wiedzy o Polsce pod redakcją Zygmunta Wojciechowskiego. — Tom II. 1947. Wydawnictwo S. Arcta w Warszawie. Str. 487,5 nl.

ANTONI GOŁUBIEW

»Dominium maris Baltici«

Nasze zaniedbania na morzu — jedna z przyczyn klęsk dawnej Rzeczypospolitej — są na ogół znane. Dziś owa obojętność na sprawy morskie należy w znacznej mierze do przeszłości. Zainteresowanie społeczeństwa sprawami morskimi jest coraz większe, chociaż znajomość tych spraw nieraz szwankuje; ale bo też nie zawsze mamy skąd czerpać wiadomości o tej tak ważnej dla naszego życia narodowego dziedzinie. „Dzieje floty polskiej" Kazimierza Lepszego *) wypełniają dotkliwą lukę na jednym z odcinków. Opowieść to fascynująca: autor ukazał nam w przejrzystej i barwnej formie historię naszych zmagań na Bałtyku. Jest w tej książce pewien nurt dramatyczny, składa się nań walka nielicznych entuzjastów *dominium maris Baltici* — ludzi którzy dokonali olbrzymich nieraz wysiłków, by ugruntować potęgę morską Rzeczpospolitej — z ospałością i niezrozumieniem tego zagadnienia wśród ogółu szlachty oraz egoistyczną i wrogą politykę Gdańska. Przed nasymi oczyma stają owe dawne sylwetki „ludzi morza", więc królów polskich, przede wszystkim Zygmunta Augusta i Władysława IV, kierowników polityki morskiej w rodzaju Jana Kostki lub Jerzego Ossolińskiego, ciekawej rodziny Weyherów, która przez kilka pokoleń broniła naszego Wybrzeża, jednego z nielicznych naszych hetmanów, doceniających znaczenie militarne morza, Stanisława Koniecpolskiego, barwnej postaci rotmistrza-rycerza, Stanisława Dunin Wąsowicza, zamordowanego w burdzie przez Niemca, wreszcie całej galerii kaprów królewskich, półżołnierzy, półrozbójników morskich ze słynnym Mateuszem Scharpingiem na czele. Obok upartej i gruntownej roboty, ileż widzimy w sprawach morskich naiwności i improwizacji, ile słomianego ognia i zniechęcenia się przeciwnościami! Ileż razy Gdańsk „przetrzymał" Polaków i wygrał! Obserwacja tych dziejów na przestrzeni wieków jest studium pouczającym i głęboko wychowawczym, stąd ma wielką wartość aktualną, uczy nas, jak na morzu pracować należy i jak pracować nie można.

Rdzeń książki i główną jej wartość naukową stanowi historia floty polskiej od czasów Zygmunta Starego do odzyskania niepodległości w r. 1918. Autor wykorzystał gruntownie źródła i dał nam wyczerpujący i wcale szczegółowy zarys dziejów floty w tym okresie. Na specjalne wyróżnienie zasługuje rozszerzenie tematu na zagadnienia gospodarcze, techniczne, organizacyjne, propagandowe związane z morzem; np. rozwój budownictwa okrętowego na Bałtyku; koszta budowy i utrzymania okrętów, ich typy i wielkości wiążą rozważania polityczno-militarne z ówczesnymi warunkami technicznymi i ekonomicznymi.

Najcięższy zarzut, który można autorowi postawić — to zbytnie rozszerzenie tematu, którego nie wyczerpał. „Dzieje floty polskiej" — ten tytuł obowiązuje. Tymczasem rozdział pt. „Przedwiośnie polskiej marynarki", obejmujący jej historię od początku państwa polskiego do czasów Zygmunta Starego jest zaledwie pobieżnym szkicem. Dzisiejsza znajomość źródeł umożliwia nam znacznie dokładniejsze zobrazowanie tego okresu. Przykładowo wskażmy tylko na parę szczegółów. Przecie już Mieszko I prowadził własną politykę na Bałtyku, czego dowodem jest wydanie jego córki, Świętosławy, za Eryka Zwycięskiego, króla Szwecji, a wiemy, że w owych czasach małżeństwa tego rodzaju mają zawsze znaczenie polityczne. W czasach Bolesława Chrobrego stosunki na Bałtyku odgrywały ogromną rolę, zwłaszcza w okresie wojen z Niemcami. W bitwie pod Swolder brały niewątpliwie udział statki jomsborskie, a Jomsborg był wówczas zależny od Chrobrego. Zresztą nawet nazwa Jomsborga nie została przez Lepszego wymieniona, podczas gdy zagadnienie tożsamości Wolina i Jomsborga musi być jeśli nie rozstrzynięte, to przynajmniej postawione. Tego rodzaju luki znajdujemy w latach późniejszych — do czasów Zygmunta Starego.

Podobne dzieło noszące tytuł „Dzieje floty polskiej" musi szeroko przedstawić historię naszej marynarki (zarówno wojennej, jak handlowej) w okresie dwudziestolecia, oraz opis walk sił polskich na morzu w czasie ostatniej wojny. Dopiero zobrazowanie szczegółowe całości usprawiedliwiłoby tytuł książki; inaczej obraz ten jest wypaczony na korzyść jednego tylko, ważnego zresztą, okresu.

Autor słusznie omawia szeroko sprawę zrozumienia spraw morskich przez społeczeństwo oraz czynniki wzmacniające lub hamujące popularność morza i floty. Kapitalna np. (i słusznie opisana przez Lepszego) jest fatalna przygoda morska Jana Tęczyńskiego, która miała duży wpływ na zapoznanie się rzesz szlacheckich z morzem za czasów Zygmunta Augusta. Natomiast nie zostały zbadane przez Lepszego przyczyny zasadniczej zmiany nastawienia Polaków w okresie odzyskania niepodległości. Ta zmiana narastała już w czasach niewoli. Miała tu wielki wpływ literatura, jak również udział polskich podróżników i marynarzy w w. XIX i XX; ich działalność odbijała się w Polsce często głośnym echem. Takie sprawy, jak awanturnicza żegluga Beniowskiego i jego „państwo" na Madagaskarze, jak podróże tej miary upczonego, jakim był Strzelecki, jak słynna wyprawa Rogozińskiego do Kamerunu i in. miały ogromny wpływ na popularyzację spraw morskich. Rozdział obrazujący przemiany w nastawieniu polskim do zagadnienia morza i floty byłby pożytecznym uzupełnieniem pracy.

Jeśli tyle miejsca poświęciłem powyższym uwagom, uczyniłem to dlatego, że pełny zarys dziejów polskiej floty jest gwałtowną koniecznością. Wydaje się, że Kazimierz Lepszy, będący dziś w Polsce bodaj największym znawcą historii marynarki polskiej, sumienny badacz i dobry stylista powinien tak swą książkę rozbudować, by drugie — oby najrychlejsze — wydanie „Dziejów floty polskiej" było pełnym tych dziejów zobrazowaniem.

Antoni Gołubiew

*) Kazimierz Lepszy: Dzieje floty polskiej. Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Gdańsk, Bydgoszcz, Szczecin 1947 str. 251 + 1 mapa.

J. Lachetówna jako Małgorzata w „Fauście" Gounoda w Operze Śląskiej.

Jubileusz
Stan. Kwaskowskiego

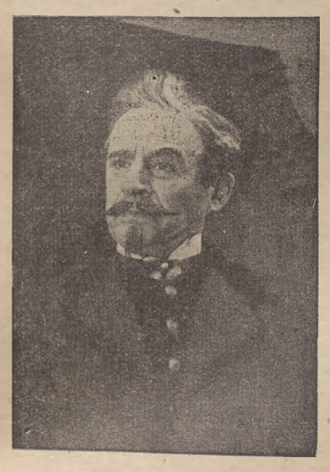

Stanisław Kwaskowski w roli Wistowskiego.

Dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku i Cieszynie, Stanisław Kwaskowski, obchodził ostatnio jubileusz 30-letniej pracy scenicznej.

Chronologiczny wykaz jego osiągnięć artystycznych — reżysera, aktora i wreszcie dyrektora — otwiera prowadzony przez Stanisławę Wysocką w 1917 r. w Kijowie teatr „Studio", gdzie Kwaskowski, jako 20-letni młodzieniec, rozpoczyna pracę sceniczną. Od 1919 r. gra w Polsce na scenach Warszawy, Torunia, Krakowa, Bydgoszczy, Częstochowy — świetny w rolach charakterystyczno - komicznych jak: Chudogęba (Wieczór Trzech Króli), Filipek (Dożywocie), Brytasz (Książę Niezłomny), Grabiec (Balladyna), Grumio (Poskromienie złośnicy) i wiele innych. Trzeba również wspomnieć o jego pracy pedagogiczno - społecznej w teatrach ludowych razem z Jędrzejem Cierniakiem, jak również o kursach teatralnych wśród wychodźstwa polskiego we Francji.

W 1945 r. spotykamy go w teatrze katowickim, ale już kilka miesięcy później obejmuje samodzielną placówkę teatralną w Bielsku i Cieszynie, którą prowadzi do dnia dzisiejszego.

Na uroczystości jubileuszowej Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie wystąpił z komedią Michała Bałuckiego „Grube Ryby". Stanisław Kwaskowski, reżyser i świetny odtwórca roli Wistowskiego, podtrzymywał tym spektaklem dobrą opinię, jaką cieszy się jego pracowity zespół. (Sew.)

ZOFIA ROSZKÓWNA

Nad „Legnickim polem"

Do wcześniejszych utworów Zofii Kossak należy „Legnickie pole", które ukazało się w r. 1930. Zofia Kossak — wnuczka Juliusza Kossaka — wyniosła z domu tradycje historycznych zainteresowań i umiała je powiązać z dynamiczną religijnością. Do zagadnień religijnych podchodzi Zofia Kossak z przenikliwością podobną do Mauriac'a, lecz dzięki temu, że rzuca je na tło historyczne unika skomplikowanej perwersyjności francuskiego pisarza, a osiąga niezwykłą siłę napięcia przeżyć religijnych.

„Legnickie pole" osnute jest na na tle średniowiecza polskiego na Śląsku za czasów Henryka Brodatego i Henryka Pobożnego. Regionalizm śląsko-polski wystąpił tu bardzo plastycznie. Skąpe źródła historyczne uzupełniła autorka swą genialną wyobraźnią historyczną i nagięła je bez sztuczności i naciągania do swych założeń ideologicznych.

Akcję miłosną stanowi nikły wątek romansowy Gaetana i Beatryczy, egzotycznie wpleciony w sprawy śląsko-polskie. Wskutek tego kompozycja powieści wypadła dość luźnie i dzięki temu właściwymi bohaterami powieści stały się postacie historyczne ks. Henryka Brodatego, jego żony św. Jadwigi, dwóch ich synów Konrada i Henryka Pobożnego. Na treść historyczną składa się konflikt między ks. Henrykiem Brodatym i jego synem Konradem i napad Tatarów, których ściągnęły na Polskę matactwa kupców weneckich rywalizujących z Genuą.

Zgodnie z historią przedstawiła autorka politykę ks. Henryka Brodatego, który dbał o podniesienie ekonomiczne Śląska i ściągał w tym celu osadników niemieckich, ceniąc sobie ich gospodarność i wyższość cywilizacyjną. Była to niewątpliwie — jak twierdzi Kazimierz Piwarski w „Historii Śląska" — (wyd. Instytutu Śląskiego — Katowice—Wrocław 1947) „karygodna lekkomyślność, gdyż „przez swą obojętność na sprawy narodowościowe i krótkowzroczność przyczynił się (Henryk Brodaty) w bardzo dużej mierze do ułatwienia pokojowej ekspansji germańskiej na terenie Śląska, skąd rozeszła się ona i na dalsze ziemie polskie". (str. 33). W przeciwieństwie do ojca syn jego Konrad jest wcieleniem patriotyzmu, zaś drugi jego syn Henryk Pobożny kosmo-politycznego uniwersalizmu chrześcijańskiego. Przejął go po swej matce św. Jadwidze, księżniczce niemieckiej, która w heroizmie świętości wzbija się na wyżyny, na których nie ma miejsca na szowinistyczną nienawiść. Ten delikatny i niezwykle trudny konflikt między patriotyzmem i kosmopolityzmem rozplątuje autorka w bardzo głęboki i mistrzowski sposób. W chwili kiedy Henryk Po-

Zofia Kossak-Szczucka w okresie pisania książki „Legnickie pole".

bożny wyrusza na rozprawę orężną przeciw Konradowi, który zbuntował się przeciw ojcu z oburzenia na jego popieranie Niemców, św. Jadwiga pragnie zażegnać bratobójczą walkę. Lecz Henryk Pobożny odgraża się bratu: „Pójdę i tego chwosta śmierdzącego przywołokę! na zamku zawrę! Niech siedzi! Dość mętu przyczynił! Wojny mu się chce?! I o co?! By miał choć o co! Że osadników jest moc? Co mu wadzą? Gadał tu dzisiaj jak głupi, że się Śląsko zatraci, że Ślązaki swojej mowy zabędą, że się odmienią, przeniemczą... Wielkie wieca! Niech się odmienią! byle były umne, mocarne, a krześcijańskie-" Taki pogląd wpoiła synowi sama księżna Jadwiga. Lecz teraz u schyłku swego życia, a u szczytu świętości zmienia swoje zdanie, rozumiejąc, że chrześcijaństwo nie może niszczyć naturalnych uczuć miłości własnej ziemi i mowy. Przyznaje się więc do winy i pragnie teraz sprostować pojęcia syna: „Księżna spuściła głowę. Onaż to zawsze mawiała, wierząc mocno, iż wszelkie różnice w narodzie pochodzą od Boga, jeno są wymysłem ludzkim... Teraz zawahała się. A ponad wszelkie strapienia wybiła się swojacka piosenka z doliny Andechsu, z jakimż radosnym weselem słyszana. Zadzwoniła skowronkiem, zapachniała niby smugą kwiecia, płynącą wiosną z głębi brzozowego bugaju, błysnęła jakimś jasnym zrozumieniem, które rozpierzchło się we mgle, zanim je pojąć zdołała. Nielza, by ludzie swojej mowy zabywali — szepnęła wahająco. Spojrzał na nią zdumiony. Samiście prawili zawdy, że mowa nie wiele znaczy, byle krześcijanami byli, a reszta równo... Źle gadałam. „Te słowa w ustach świętej przydają rozwiązaniu problemu jakiejś nadziemskiej, boskiej powagi.

Lecz Jadwiga nie zażegnała walki bratobójczej. Konrad zginął. Umarł też Henryk Brodaty, a na Śląsk runęła zapowiedziana w proroczym widzeniu Jadwigi, nawała tatarska. Kraj nie był przygotowany na taką burzę. Henryk Pobożny poczuł się nagle opuszczony i osamotniony. „Mimo ustawnie od dwu wysyłanych posłów, próśb, listów wymownych, przez biskupów skreślonych — nie kwapili się z pomocą ani cesarz, ani swak księcia, Wacław czeski... On jeden, najmłodszy, napoły barbarzyński syn cywilizacji zachodniej, zasłonić ją miał i bronić". „Nie cofnie się jednak przed straszliwą walką, z góry świadom klęski, bo wie, że „teraz takie czasy, że inaksi nie śmią być, jeno czy z Bogiem, czy przeciw... Każdy ma się opowiedzieć... Z Chrystusem — czy z Antychrystem"... choćby to krwią męczeńską okupić trzeba było. Lecz przed bitwą, w której śmierć poniósł, nawiedza go wspomnienie brata i skrucha: „Nie chciałem Niemców, jeno przez nich ludzi do królestwa Bożego przybliżyć... Ostawili mię samego... Tyś był w on czas praw, nie ja... Daruj mi bracie, daruj, bo gorze mi się stało w godzinę skonu mojego".

Tak w przeświadczeniu o misji Polski obrony chrześcijaństwa — znowu u szczytu świętości zdobytej purpurą męczeństwa dojrzewa patriotyzm Henryka Pobożnego. Z jakąż dyskrecją, ale i mocą zostało to w powieści powiedziane, zwłaszcza w końcowym obrazie bohaterskiej śmierci Księcia, na miarę pieśni o Rolandzie opowiedzianej: „Uniesiony zapałem, wspiera się w strzemionach, krzyczy do swoich głosem silniejszym od trąby: Za Chrystusa! Za krzyż święty!!... Choć krew uchodzi po srebrzystej zbroi, kapie przez relikwiarz święty — szczęśliwy jest i lekki, radosny. Odeszła kędyś udręka — odeszła i nigdy nie wróci. Przebaczone, odkupione, wyjaśnione wszystko. Nie ostał się już cień żalu do nikogo. Ni do czeskiego króla, ni do cesarza. Cóż mu, że nie przyszli? Nie za nich walczy, lecz za chrześcijaństwo, za najgłębszą treść swej duszy".

Znaczenie Legnicy było olbrzymie. Potwierdza to znowu historyk — Piwarski. Wprawdzie głównym celem ataku Tatarów były Węgry nie Polska — uderzenie na Polskę miało bowiem na celu niedopuszczenie z Polski posiłków dla Węgier, nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby nie opór Polaków pod Legnicą, Tatarzy złakomili by się na pewno na Niemcy lecz „po stratach legnickich uznali jednak za zbyt ryzykowne pchanie się na Zachód. (Piwarski j. w. str. 47). „Nie po raz to ostatni krew polska została przelana w obronie cywilizacji europejskiej przed zalewem świata azjatyckiego. W tym wypadku Polacy ryzykowali swoją krew w znacznie większej mierze dla sprawy słowiańskiej. Ruś znalazła się wówczas pod jarzmem tatarskim i musiała uginać karku przed panami mongolskimi przez długie lata. Ewentualne zwycięstwo polskie pod Legnicą zmieniłoby zapewne tok dziejów świata słowiańskiego. Wpłynęłoby na rychlejsze zbliżenie Słowian wschodnich i zachodnich. Natomiast klęska legnicka spowodowała w następstwie umocnienie się rządów tatarskich na Rusi, na okres bardzo długi. Zaciążyło to poważnie na dziejach Słowiańszczyzny, wpływając na pogłębienie różnic między Rusią a Polską. Nie z winy Polaków, którzy stanęli do nierównej walki i starali się dobrze wykonać swe zadanie, które niestety przerosło ich siły", (Piwarski: j. w. str. 42 i 43). Tak mówi historyk — jasno wyraźnie bez niedomówień.

Zofia Kossak myśli tak samo i wśród poetyckich niedomówień pozwala czytelnikowi snuć historiozoficzne wnioski. Lecz jeszcze mocniej, niż zmysł historyczny wypowiada się w tej książce żywioł religijny autorki. Gdy Gaetano przygląda się mongolskiemu światu w Karakorum, gdzie zaczyna się akcja powieści — doznaje uczucia lęku: „trzeźwy, racjonalistyczny świat, nie szukający początku ni końca, nie pragnący poznać nieba, przerażał go bardzo"... „Cały ten niezrozumiały, obcy świat jest tylko omamem szatańskim łudzącym oczy nad pustką otchłani, przedsionkiem piekła". A jednak Chrześcijańska Europa nie zrozumiała zawczasu niebezpieczeństwa, nie stawiła mu po rycersku czoła. Ojciec św. nie ogłosił przeciwko Tatarom krucjaty, bo „kto by poszedł?! Każdy o sobie jeno myśli. Nie o ducha stoją, ale o swoje ziemskie pożytki. Mongołów Wenecjanie sprowadzili... by Genuę zniszczyć, chrześcijaństwo na zgubę wydali? „A przecież była to chwila, kiedy każdy miał się opowiedzieć „Z Chrystusem czy z Antychrystem".

Ostateczny wydźwięk powieści jest więc religijny. — Być może więc, że dlatego nie chcąc zamazywać konturów wyraźnie zarysowanego zrębu ideologicznego uprościła autorka — do czego zresztą miała pełne prawo — tło historyczne. Na niekorzyść obu książąt śląskich pominęła Zofia Kossak zupełnie dążenia Henryka Brodatego do zjednoczenia dzielnic polskich i obrony Śląska przed zapędami germańskiego imperializmu. Henryk Brodaty walczył z Niemcami, uwolnił od nich ziemię lubuską i poszerzył granice Śląska na północny zachód. Dzięki swej roztropnej, konsekwentnej polityce był pod koniec życia panem Śląska, Małopolski i większej części Wielkopolski. Śmierć jego w r. 1238 zatrzymała ten trwały pochód ku koronie królewskiej.

Henryk Pobożny był kontynuatorem polityki ojca i polityki swych wielkich poprzedników, Bolesławów, którzy w zbliżeniu do stolicy apostolskiej szukali dla siebie i dla Polski oparcia przeciwko uzurpacjom i zaborczości cesarzy-władców Niemiec. Była to droga dla Polski najwłaściwsza, wskazana trafnym instynktem naszych władców piastowskich najlepiej zabezpieczająca prawa suwerenne państwa polskiego w ówczesnych warunkach. Realizacja tak pojętych planów Henryka Pobożnego byłaby zapewne oszczędziła Polsce wielu dziesiątek lat rozbicia dzielnicowego oraz połączonych z tym dotkliwych strat szczególnie terytorialnych. Niestety, los zrządził inaczej. Dzieło Henryka Pobożnego zburzył najazd Tatarów.

Tak więc historyk i powieściopisarz dopełniają się wzajemnie dając w sumie obraz odległego średniowiecza polsko - śląskiego, wyrazisty w swym rysunku historycznym i pełen głębi religijnego oświetlenia. **Zofia Roszkówna**

»Pan inspektor przyszedł«
z Aleksandrem Zelwerowiczem

John Boynton Priesley znany i ceniony ogromnie jako publicysta radiowy, do literatury wszedł w r. 1929 książką „Dobrzy Towarzysze", która zdobyła sobie wielką popularność. Za nią poszły inne powieści (jak np. „Angel Pavement"), przyjmowane również z wielkim uznaniem nie tylko przez przeciętnego czytelnika, ale i przez wymagającą krytykę angielską — a następnie sztuki teatralne („Time and the Conways", „I Have Been Here Before", „Johnson Over Jordan" i inne). Dźwięczy w nich zawsze nuta społeczna, której źródło tkwi w metafizycznie nieco pojmowanej sprawiedliwości. Jedna z nich — „Miasto w dolinie" — była grana w Polsce w ubiegłym sezonie.

„An Inspector Goole" tłumacz dał polskiemu przekładowi tytuł „Pan Inspektor przyszedł", pokazując nam w sposób dość typowy nakreślone środowisko angielskie: wzbogacony na wyzysku swych robotników przemysłowiec, Arthur Birling, wydaje za mąż córkę Sheilę. W czasie uczty zaręczynowej zjawia się jakiś inspektor policji, który przeprowadza śledztwo, mające na celu wyjaśnienie powodów samobójczej śmierci młodej dziewczyny — Ewy Smith. Arthur Birling wyrzucił ją z pracy za żądanie wyższej płacy i podżeganie do strajku. Sheila Birling fałszywym oskarżeniem spowodowała usunięcie dziewczyny z domu handlowego, w którym pracowała jako ekspedientka. Gerald Croft — narzeczony Sheili — zrobił z niej swoją kochankę, a później porzucił. Syn Arthura Birlinga — Eryk — „wykorzystał ją jako zakończenie pijackiej nocy". Żona Arthura — Sybilla — jako członkini zarządu instytucji charytatywnej nie zaopiekowała się Ewą, gdy ta — spodziewając się dziecka, którego ojcem był Eryk — zwróciła się do niej o pomoc. Gdy wszystko zawiodło — dziewczyna otruła się. Ewie Smith już nic nie potrzeba. Wszyscy, którzy przyczynili się do jej śmierci, winni pamiętać, że takich dziewcząt jest tysiące i losem ich trzeba się koniecznie zająć, jeśli nie chcemy „we krwi i ogniu wyciągać naukę z tego co zaszło". Takim demagogicznym zdaniem kończy inspektor swoje przesłuchanie i wychodzi. Pozostali winowajcy dzielą się na dwie grupy. Starsi — Arthur i Sybilla Birlingowie, należy także do nich Gerald Croft — uważają, że to była mistyfikacja. Inspektor Goole jest nieznany w komendzie policji. Młodzi Birlingowie twierdzą, że nigdy nie zapomną krzywdy, jaką wyrządzili dziewczynie i wydaje się, że zmienią swój stosunek do świata. Atmosferę odprężenia przerywa telefon z policji; tym razem przybędzie autentyczny inspektor, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci nieznanej dziewczyny, która zmarła w drodze do szpitala. Kurtyna.

Przypuszczać należy, że powszechnie ceniony i szanowany w mieście Arthur Birling, zrobi to co mu się nie udało z głosem sumienia, którym był inspektor Goole, i przedstawiciela władzy państwowej, zależnej od kapitału, po prostu przekupi. Bo jego już nic i nikt nie zmieni. Ale domysł ten — dyktowany aktualną sytuacją w Stanach Zjednoczonych, Anglii czy Francji — do sztuki już nie należy.

Sztuka Pristley'a stawia zagadnienie odpowiedzialności kapitału za nędzę setek tysięcy ludzi ciężkiej pracy, wyzyskiwanych przez Birlinga, Crofta i im podobnych. Mało — sztuka Priestley'a przypomina ludziom, że każdy system rządzenia winien mieć na celu dobro obywateli, że państwo jako organizacja społeczeństwa winno być środkiem, a nie celem w dążeniu

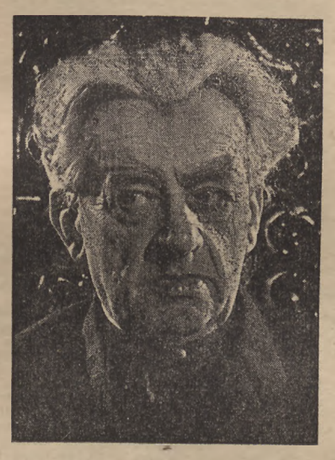

Aleksander Zelwerowicz w roli Inspektora.

do zapewnienia ładu i sprawiedliwości. Nie należy wszakże zapominać o pewnych niedociągnięciach w ideologicznej strukturze sztuki, zatuszowanych przez autora demagogią. Nie jesteśmy przecież dziećmi, żeby nie wiedzieć o tym, iż sprawcami tragedii Ewy Smith mogli być równie dobrze przedstawiciele klasy, do której ona należała. W celowym nagromadzeniu osób ze sfer kapitalistycznych, będących przyczyną jej nieszczęścia, tkwi sztuczność, która u przeciętnego widza może poderwać wiarę w słuszność zarzutów, stawianych przez autora klasie rządzącej. Trzeba pamiętać, że ciężar realizacji postulatu sprawiedliwości społecznej spoczywa nie w systemie, a w człowieku.

Wydaje mi się, że reżyseria Aleksandra *Zelwerowicza*, grającego jednocześnie rolę tytułową, nie wydobyła dostatecznie wyraźnie tych akcentów ludzkich, jakie tkwią w postaci Sheili i Eryka, a przede wszystkim inspektora. Jego Goole jest nazbyt może surowym prokuratorem i to znęcającym się chwilami nad swymi ofiarami. Przecież działania jego argumentów widoczne jest w reakcjach młodych Birlingów — on sam nie powinien chyba podkreślać ich tak dobitnie swoim zachowaniem.

Maria Dulęba narysowała postać pani Birling szeroką skalą drobnych ruchów i gestów, które złożyły się na całość nazbyt groteskową, ale konsekwentną od początku do końca. Szkoda tylko, że staranność zewnętrznej i wewnętrznej budowy roli nie idzie w parze ze starannością wymowy. Sporo kwestii jest tak zniekształconych, że nie dochodzą do słuchacza. Artystka tej miary powinna pamiętać, że jest szkołą i przykładem dla młodych aktorów. A któż zaprzeczy, że umiejętność mówienia jest jednym z najważniejszych, jeśli nie podstawowym, elementem gry scenicznej. Zapodziała się gdzieś — niestety — troska o słowo. Większość aktorów nie umie wymawiać dźwięcznego „ł", niektórzy raz je mówią, drugi raz nie. Innym sprawiają trudność nie dopokonania fonetyczne upodobnienia międzywyrazowe. Nie chcę przez to powiedzieć, że w innych teatrach jest lepiej. Aktorzy z umiejętnością doskonałej wymowy scenicznej należą do wyjątków.

Franciszek Dominiak, który po serii tubalnych figur pokazał się w odmiennej roli, nie czuje się zbyt dobrze we fraku anielskiego przemysłowca; ma kłopoty nie tylko z mankietami frakowej koszuli, ale i z okrągłymi tyradami pana Birlinga, szczególnie w I akcie.

Sheila — *Justyny Karpińskiej* — to bardzo starannie przygotowana rola, ale tkwi w niej jeszcze wiele wspomnień Melanto z „Penelopy". Wiele obiecuje talent *Czesława Wołłejki* w roli Eryka Birlinga. *Mieczysław Milecki* robił co mógł, aby ze sztywnej, ubogiej postaci Geralda Crofta wydobyć trochę życia.

Trudno grać w sztuce, której akcja posuwa się drobnymi kroczkami dialektyki, na milczącym przeważnie tle reszty, przebywających na scenie, osób. Nie mam

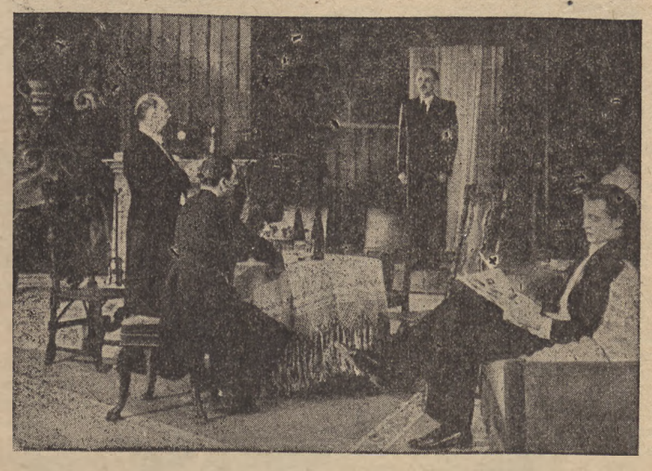

„Pan inspektor przyszedł" na scenie Państwowego Teatru Dolnośląskiego we Wrocławiu.

egzemplarza angielskiego, więc nie wiem czy za nużącą jednostajność języka wszystkich postaci winić tłumacza (*Józef Brodzki*), czy autora. Jeżeli zważymy, że każdy człowiek ma własny styl wypowiadania myśli, to w „Panu Inspektorze" nie ma indywidualności. Tylko formalne: w przypadku Dulęby doprowadzona do mistrzostwa.

Mieczysław Nalewajski dał sztuce bardzo dobrą oprawę dekoracyjną, ale prawdopodobnie nie widział jej z balkonu II piętra. Świetlne koło w stole jest doskonałym efektem, daje przyjemne oświetlenie twarzom aktorów, ale męczy boleśnie oczy patrzących z góry.

Na zakończenie małe wyjaśnienie: — Powie ktoś, że recenzja pełna jest jedynie uwag krytycznych, wytykających złe strony przedstawienia. — Dobrych jest tak dużo, że nie zmieściłyby się w skromnych ramach tego sprawozdania. Przedstawienie trzeba zobaczyć. *Zbigniew Pejot*

Następny numer „Odry" przyniesie m. in. prace Tadeusza Mikulskiego, Emilii Sukertowej-Biedrawiny, Zygmunta Milewskiego oraz dalszy ciąg dyskusji: Kościół i polityka.

Nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego"

Już się ukazał grudniowy numer „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

J. Cyrankiewicz: Polityka Polski Ludowej
St. Szwalbe: Przed XXVII Kongresem Partyjnym
J. Hochfeld: Od XXVI do XXVII Kongresu PPS
J. Topiński: Dorobek teoretyczny, na którym budujemy
J. Rosner: Aktualne problemy międzynarodowego ruchu socjalistycznego
W. Domino: PPS w ruchu zawodowym
L. Motyka: Młodzież socjalistyczna
J. Mulak: Szkolenie socjalistyczne
T. Ćwik: Propaganda partyjna
A. Kaduszkiewicz: Zagadnienie odbudowy gospodarczej Niemiec

Kartki z historii socjalizmu

M. Zawadzka: Pierwszy Zjazd PPS
A. Munk: Proces Mierosławskiego

Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami

Idee — Myśli — Zagadnienia

J. Strzelecki: O niektórych źródłach uproszczeń marksizmu
J. N. Miller: Klasa i naród w kleszczach imperializmu
A. Pokorski: Postawa kościoła katolickiego wobec przemian ustrojowych w Polsce
K. Winkler: Polskie malarstwo nowoczesne
J. H.: Adama Schaffa „Wstęp do teorii marksizmu

(49)

Z życia partii
Listy do redakcji
Książki i czasopisma nadesłane
Notatnik referenta

Cena numeru 40 złotych

·CZYTELNIK·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

JERZY BOREJSZA
NA ROGATKACH KULTURY POLSKIEJ
Str 30 zł 40

STANISŁAW SŁOŃSKI
SŁOWNIK POLSKICH BŁĘDÓW JĘZYKOWYCH
Str 282 zł 380

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ
HISTORIA FILOZOFII
Tom II
Wyd. III przejrzane i uzupełnione
Str 354 zł 980

MICHAŁ SZOŁOCHOW
CICHY DON
Tom III
Tłum. Rogowicz W., Stawar A.
Str 520 zł 750

JANINA BRONIEWSKA
HISTORIA GAŁGANKOWEJ BALBISI
Ilustr. Sopoćko K. M.
Str 68 zł 260

LUCYNA KRZEMIENIECKA
PAN KLET I JEGO KLEJNOTY
Ilustr. Karolak J.
Str 47 zł 500

JULIAN TUWIM
ZOSIA SAMOSIA I INNE WIERSZYKI
Ilustr. Ha-Ca.
Str 37 zł 500

JAN BRZECHWA
SKARŻYPYTA
Ilustr. Siemaszkowa O.
Str 39 zł 580

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE
2 tomy zł 270

JANINA BRONIEWSKA
HISTORIA TOCZONEGO DZIADKA I MALOWANEJ BABKI
Ilustr. Wielhorski Cz.
Str 101 zł 300

WARSZAWA 1945
w RYSUNKACH TADEUSZA KULISIEWICZA

Teka formatu 40,5×51 cm w sztywnej oprawie zawiera 32 rysunki

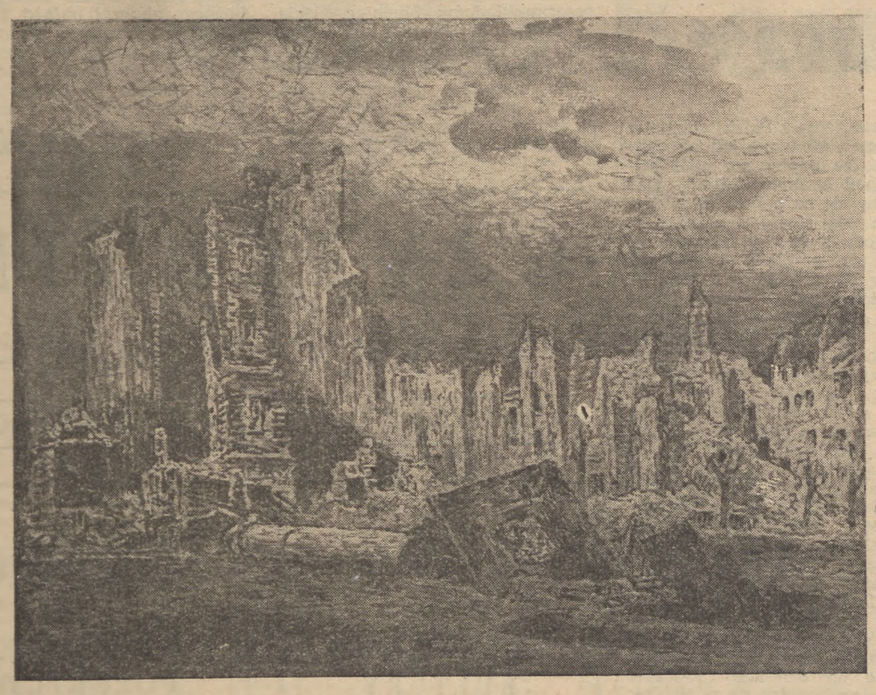

Rysunek nr 3 — *Kolumna Zygmunta*

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH

Kocie Góry — Kacze Góry

Na zjeździe polskich geografów, który się odbył w roku 1946 we Wrocławiu, padło z ust jednego z prelegentów zdanie, wtrącone jak gdyby nawiasowo z powołaniem się na bliżej nieokreślone źródło niemieckie, że Kocie Góry, długim wałem ograniczające od strony północnej równinę wrocławską, zwały się dawniej Kaczymi Górami.

Zdanie to utwierdziło mię w moich dawniejszych przypuszczeniach, że w czasach piastowskich istniała nazwa Kacze względnie Kadcze Góry, która oznaczała wzniesienia trzebnicko - ostrzeszowskie porośnięte naówczas gęstym lasem szpilkowym. **Kadczyna** i pochodna **kaczyna** znaczyła wtedy prawdopodobnie to samo co **czadczyna** i pochodne: **czacina, czatyna, czecina** i **cetyna**, tj. gęsty drzewostan szpilkowy.

Niemcy przejęli od naszych przodków nazwę Kaczych Gór i przekręcając ją na „Katzengebirge", a Polacy zapomniawszy po wielu wiekach pradawnej słowiańskiej (?) nazwy i jej znaczenia zadowolili się „Kocimi Górami", które są dosłownym tłumaczeniem owego „Katzengebirge" przekręconego przez Niemców i nie mającego żadnego uzasadnienia toponomastycznego.

W taki sam sposób powstała nazwa „Katzbachgebirge" nadana górom ograniczającym kotlinę jeleniogórską od północy oraz nazwa „Katzbach" odnosząca się do potoku z gór tych wypływającego, nad którym leżą Złotoryja i Legnica. Nie ulega wątpliwości, że był to dawniej Kaczy Potok i że etymologia jego nie wiąże się ani z wyrazem „kot" ani „kaczka" ale z kadczą (kaczą) czy z kaczyną tj. z lasem szpilkowym. Toteż „Kocaba" i „Góry Kocabskie" figurujące na polskich mapach Dolnego Śląska nie odpowiadały mi zupełnie i dopiero nazwy „Kaczawa" i „Góry Kaczawskie" wprowadzone ostatnio na mapie fizycznej Śląska przez E. Romera i A. Wrzoska powitałem z zadowoleniem. Niestety na mapie tej pozostawiono po dawnemu „Kocie Góry" rozszerzając ich zasięg poza Kożuchów aż do Bobra. Nazwa ta już się u nas przyjmuje i jak się przekonałem, używano jej powszechnie podczas rejonowej konferencji nauczycieli - geografów, jaka odbyła się w listopadzie br. w Krakowie. To właśnie dało mi impuls do zabrania głosu w tej sprawie, chociaż nie jestem lingwistą.

Naszym językoznawcom pozwolę sobie poddać do rozważań następujące sugestie natury więcej geograficznej:

Wincenty Pol w „Obrazach z życia i natury" (Kraków 1869, t. I, str. 176) zamieścił takie zdanie, mające może pewien związek z omawianą sprawą:

„Beskid — Bieszczad — to graniczny dział Kiciny i Czaciny, bo kiciną i czaciną nazywa lud choinę szyszkowych lasów, przez które się przeprawiać przychodzi z jednego połcia gór na drugi, z Polski do Węgier."

Jeśli istotnie tak jest, jak przed stu laty zaobserwował W. Pol, to było by to zgodne z bardzo znamiennym zjawiskiem, że zasięg nazwy „Beskid" (także „Bieskit") i „Bieszczad" (niekiedy „Bieszczat") obejmuje najbardziej lesiste i szpilkowymi haszczami pokryte pasma w Karpatach. Tak samo nazwy Czacina — Kaczyna, Czadca — Kadcza, Czaca — Kacza, które za obocznością słownikową uważamy i pochodne Czecina, Cecina, Cetyna, pospolite na ziemiach słowiańskich, odnoszą się do miejsc, gdzie rosną lub rosły lasy szpilkowe.*) Rzecz charakterystyczna, że w Karpatach występują one często w sąsiedztwie różnych „Beskidów".

Dowodem tego, że niemiecka nazwa „Katzengebirge" bazuje na Górach Kaczych może być leżąca po północnej stronie tych gór między Lesznem i Rawiczem miejscowość Kaczków (niem. Katschkau). Takich nazw niemieckich mających w rdzeniu „Katsch" lub „katz", co jest przekręceniem rdzenia „kacz", moglibyśmy przytoczyć więcej. Nazwy te są rozmieszczone bądźto na ziemiach słowiańskich, bądź na ziemiach, które niegdyś miały ludność słowiańską. Do grupy tej zaliczam wzgórze Katschenberg leżące na północ od Drezna na samej granicy Saksonii, następnie Katzow (Kaczów) koło Chroślina na zachód od cieśniny Piany (Pomorze Zachodnie), dalej Gr. Katz, Kl. Katz, Katzerfliess (Wielki i Mały Kack) koło Gdyni a także prawdopodobnie Katzwinkel (Kacwin) na Zamagurzu Spiskim. Analiza topografii tych miejscowości przemawia za tym, że ich okolice obfitowały w lasy szpilkowe i swój charakter lesisty do dziś dnia w większości wypadków zachowały. To co powiedzieliśmy o Kocich Górach znajduje potwierdzenie w nazwie miasteczka Katzendorf, leżącego w południowo-wschodniej części Siedmiogrodu na 46°5' szerokości geogr. północnej i na 25°18' długości geogr. wschodniej, którego właściwa nazwa jest Kacza, po rumuńsku Cata. Jest to okolica górzysta, w której zachowały się jeszcze lasy iglaste.

Podobne wyrazy zachowały się na półwyspie Bałkańskim oraz na obszarze etnograficznie ukraińskim (Kaczalinsk koło Stalingradu), białoruskim a zapewne i rosyjskim. W południowej Bukowinie na pograniczu lasów liściastych i szpilkowych znajduje się miejscowość Kaczyka (rum. Cacica) znana z kopalń soli. W Karpatach Zachodnich mamy osadę Kadczę na lewym brzegu Dunajca koło Jazowska, następnie wioskę Kacze nad Popradem na Spiszu powyżej Piwnicznej, wspomniany już Kacwin na Spiskim Zamagurzu oraz Kaczą Dolinę w Tatrach Wysokich, która to nazwa odnosiła się pierwotnie także do najgórniejszych zalesionych pięter Białej Wody. Istnieje także wioska Kaczyna w Beskidzie Małym koło Choczni. Są wreszcie Kacze Góry i Kaczawskie Góry na Dolnym Śląsku, świadczące o tym, że ludność która im nazwę nadała, była pochodzenia słowiańskiego.

Marian Gotkiewicz.

*) Już w dokumencie z r. 1264 wspomniany jest las zwany **Cetyną** (silva deserta inculta **Chetene** vocata) rozciągający się między Popradem a osadą Wielką na Spiszu. Na górze **Cecynie** koło Czerniowiec są ruiny zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego, który Jan Długosz **Czeczny** a Marcin Kromer **Czeczyn** albo **Ciekuń** zowie. W powiecie mińskim obok Famipola istnieje wieś **Czeczyn — Czeczyno.** W obrębie Jasienicy Solnej wypływa z lasów radoszyńskich potok Czecza zraszający bory Radyczowa. Również odwiecznym borem są pokryte pn.-wsch. stoki Arszycy w Beskidzie Lesistym (gm. Suchodół, pow. Dolina), gdzie wypływa potok **Czeczwa** czyli **Czeczawa.** W lesistych ostępach powstały niegdyś wsie **Czacz** w powiecie kościańskim, **Czaczki** w Grodzieńszczyźnie, **Czaczów** w powiecie sądeckim koło Nawojowej i miasteczko **Czaca (Czadca)** nad Kisucą na ważnym przejściu z Cieszyna do Żyliny w żupanacie trenczyńskim. W bezpośrednim sąsiedztwie Czacy spotykamy **Oszczadnicę,** Świerczynowiec i Czarne świadczące o lesistości tamtejszego terenu. W powiecie opoczyńskim nad Pilicą jest wieś **Ceteń** a w powiecie limanowskim wznosi się nad Skrzydlną lesista góra **Cieceń.**

Książka o krzywdzie

Wiek XX jest „stuleciem dziecka" Wielki rozwój psychologii dziecięstwa, wzrost zainteresowania skierowanego ku dziecku, cały szereg instytucji poświęconych dziecku tak kazały nazwać to nasze stulecie. A jednak wszyscy uczeni, wychowawcy, lekarze, psychologowie nie zdołali zapobiec nędzy dzieci ulicy, nie potrafili rozwiązać tego zagadnienia.

Krzywda społeczna tych wydziedziczonych to główne zagadnienie, któremu jest poświęcona epopeja dzieci ulicy — „Dzieci" Jana Brzozy.

Książka — to musimy już użyć oklepanego terminu — wzruszająca i nie ma chyba kobiety, której wrodzone są uczucia macierzyńskie, ażeby nie przejęła się losem małych bohaterów powieści.

Głód, zimno, opuszczenie, bezdomność, demoralizacja ulicy wszystko to chyba na dzieci ulicy, a autor oddaje ich nędzę materialną i duchową w tak sugestywny sposób, że „Dzieci Brzozy nie zapomina się po przeczytaniu.

Budowa powieści jest fragmentaryczna, czym przypomina „Dziewczętą z Nowolipek" Poli Gojawiczyńskiej. Z pięknego nastrojowego obrazu wstępnego, obrazu tłumu małych gazeciarzy wyodrębniają się w toku opowieści poszczególne sylwetki dzieci, z Jurkiem, jako głównym bohaterem. Postaci te po przeczytaniu książki stają nam tak bliskie i znajome, jak Anielka Prusa, czy Janko Muzykant (którego nam zresztą trochę przypomina „długi" Tolko ze swoim umiłowaniem muzyki i marzeniem o skrzypcach), czy też „Dziewczynka z zapałkami".

Obok swego oblicza społecznego, oblicza krzywdy, mają jeszcze „Dzieci" Brzozy i inne oblicze — swoisty urok romantyzmu życia włóczęgowskiego. Obok trzeźwego realizmu w opisach nędzy dzieci proletariackich — jakaś dziwna nastrojowość i liryczna melancholia. Obok bardzo mocnych, drastycznych scen — delikatne subtelne, lekko zarysowane sprawy uczuć, coś, co się ledwo dostrzega, n. p. dziecięca przedwiosenna miłość Maniusi do Jurka.

Najmocniejszą stroną książki to doskonała znajomość psychiki dziecka, świetna obserwacja życia zewnętrznego i niemniej udane spojrzenie w głąb duszy dziecka ulicy.

Swoisty humor przypomina prusowski „uśmiech przez łzy". Ale humor „Dzieci" to tylko słaby promyczek, przedzierający się przez gęstą mgłę tragizmu.

Bardzo zdecydowanie są przedstawione w powieści dwa światy: świat ludzi zamożnych i świat nędzarzy. Żyją one niby obok siebie, a przecież są sobie zupełnie obce, nie ma żadnych punktów stycznych między nimi.

Powieść Brzozy wychodzi już po raz trzeci, ale warto ją przeczytać nie jeden raz. **Halina Polkówna**

Krótkie spięcia

W sprawie pudru

W związku ze wznowieniami przekładów z literatury obcej na naszym rynku księgarskim, należy wystąpić jak najbardziej stanowczo przeciwko — pudrowi ryżowemu. Puder ryżowy bowiem posiada już długą a bogatą historię w naszej literaturze przekładowej i chociaż czasami na jakiś czas znikał, to jednak z uporem, godnym węża morskiego, zjawiał się znowu, i zakwitał w całej swej krasie i okazałości. Obecnie — jak nam sygnalizują — zmartwychwstał po zawierusze wojennej jak Feniks z popiołów i daje znać o sobie niemal w każdym przekładzie z języka francuskiego.

Po puder ryżowy, proszę Państwa, jest pochodzenia francuskiego. Francuzi mówią na puder, na ten nasz zwyczajny puder, na ten po prostu puder — „poudre de riz". Mówią zaś tak dlatego, ponieważ samo słowo „poudre" oznacza proch strzelniczy, więc, aby nie było nieporozumień, poder został nazwany „poudre de riz", jako że go dawniej wyrabiano, czy jeszcze się czasami dziś wyrabia z ryżu.

No, ale co nas, Polaków, to może obchodzić, z czego się puder wyrabia? To interesować powinno najwyżej fabrykantów kosmetyków, ale czytelników przekładów z francuskiego w żadnym wypadku.

Tymczasem czytamy wszędzie: puder ryżowy. Puder ryżowy, puder ryżowy i puder ryżowy! Co jest z tym pudrem ryżowym do wszystkich takich i owakich?!...

W naszych rodzimych powieściach, w powieściach przełożonych z angielskiego, rosyjskiego, hiszpańskiego i Bóg wie z jakiego innego języka, wszystkie kobiety — o ile tego wymaga autor — pudrują sobie noski i inne części ciała, pudrem. Zwyczajnym pudrem. Najnormalniejszym pudrem. Po prostu pudrem i już. A w powieściach przełożonych z francuskiego — pudrem ryżowym, pudrem ryżowym i tylko oraz wyłącznie pudrem ryżowym! Bo dlatego, że tam jest napisane: „poudre de riz"!

Otóż Panowie Przekładowcy i Przekładańcy, oraz Panie Przekładaczki powieści i innych rzeczy z języka francuskiego! Zlitujcie się! Skończcie z pudrem ryżowym! Skończcie z pudrem ryżowym, bo język polski nie uznaje takiej specyfikacji między jakimś pudrem zwyczajnym a jakimś pudrem ryżowym. Język polski uznaje najzwyczajniejszy w świecie puder i na tym koniec. To jest tak samo, jak czasami bywa z tłumaczeniem wyrazu „chauffeur", który przekładają nasi domorośli znawcy na „palacz". Żaden palacz panowie, lecz tylko szofer!

A więc precz z pudrem ryżowym, a niech żyje — puder! PUDER!!!

NIEJAKI X.

Wśród czasopism

Zagadnienia organizacji kultury w Polsce, sprawy planu kulturalnego i jego realizacji były w ostatnich miesiącach na łamach prasy literacko-społecznej szczególnie często i obszernie poruszane. W omawianiu ich na czoło wysuwała się *Kuźnica,* głównie dzięki upartej, konsekwentnej publicystyce Żółkiewskiego, który nie bardzo się w tym wypadku bawił w teoretyzowanie, a cały nacisk położył na praktyczne, konkretne rozwiązanie poszczególnych problemów. Plany Żółkiewskiego uważać trzeba za dalekosiężne, gdyż zakres ich wymaga wielkiego rezerwuaru środków finansowych, których odbudowującemu się państwu nadal jeszcze brak, i równie wielkiego rezerwuaru ludzi, i to nowych ludzi, przygotowanych do nowych zadań, umiejących poruszać się i pracować w nowych formach a przy tym dysponujących nie tylko odpowiednim wykształceniem, lecz i pełnym poczuciem odpowiedzialności za prowadzoną pracę i jej rezultaty. Przy niedostateczności środków, jakimi dysponujemy dla przeprowadzenia dzieła upowszechnienia kultury, widzimy równocześnie wciąż jeszcze wielkie marnowanie się tych środków na różnych szczeblach pracy wskutek nieumiejętnego ich wykorzystywania przez nieodpowiednich ludzi. Marnują te pieniądze teatry, marnują domy kultury i świetlice; związki zawodowe i Sam. Chłopska. Dzieje się to naturalnie nie we wszystkich poczynaniach, lecz w dużej ich części są to niestety fakty stwierdzone, choć można powiedzieć, że często prawie nieuniknione wobec braków personalnych i organizacyjnych.

Słusznie stwierdził Żółkiewski, że wrocławska mowa Prezydenta Rzeczypospolitej stanowi nowy etap w naszej polityce kulturalnej, gdyż do stanu ustalonego w charakterystyce osiągnięć i stawianiu postulatów przez publicystykę wnosi wypowiedź najwyższych czynników państwowych. Żółkiewski przypuszcza, że dyskusja na temat polityki kulturalnej już się zakończyła, że państwo wyprowadza z niej praktyczne wnioski, że rozpoczyna się praca, która przyniesie ogólnokrajowe planowanie państwa, przyniesie plan wydawniczy i repertuarowy, plan rozbudowy sieci radiowej i kinowej, plan przebudowy instytucji kulturalnych służących masom i wreszcie racjonalną gospodarkę środkami finansowymi, które na te cele stoją do dyspozycji. Ma to być scalenie ośrodków dyspozycji kulturalnej, ujednolicenie pracy.

Oczekujemy tego planu niecierpliwie. Jego linie już się zarysowały. Przychodzi więc pod dyskusję sprawa jego przyszłej, najszerzej pojętej realizacji. I sprawa zasadnicza: plan to rzecz cenna, w warunkach naszych konieczna i niezastąpiona, ale jego wykonanie kryje w sobie niebezpieczeństwa. Jedno z nich to tendencja do schematyzacji, do zbytniego upraszczania zjawisk i zagadnień, do jednokierunkowości i jednostronności, która w pracy kulturalnej zasadniczo zawsze przynosi więcej szkody niż pożytku, która stosowane w pracy tej formy może wypełnić nie dość pełną i powszechną treścią, czasami nawet treścią urojoną.

Z tych względów warto zwrócić uwagę na fakt *Edwarda Csato* w numerze 40/41 *Nowin Literackich,* w którym autor porusza zagadnienie kulturalnej przebudowy z punktu widzenia jego stosunku do rzeczywistości, do życia i wysnuwa ze swoich rozważań słuszne uwagi o postawie pisarza wobec tych problemów i jego roli w ich granicach. „Wiele bardzo cennych rozmyślań — pisze Csato — o koniecznej w naszych warunkach przebudowie kulturalnej dałoby znacznie doskonalsze rezultaty, gdyby zaczynało się od analizy obecnej sytuacji życiowej naszego kraju. Nie kulturalnej, ale właśnie życiowej." To, co wychodzi dziś spod pióra naszych pisarzy, jest głęboko związane z życiem, a mimo to krytycy socjologizujący ciągle zarzucają pisarzom, że izolują się od życia. Ale ci krytycy mają swoją własną wizję życia, wizję takiego życia, jakie pragnęliby już widzieć w rzeczywistości, wizję ideologów i działaczy społeczno-politycznych, zgodną z ich programami i planami. „Orientując się, że bitwa jest wygrana, często wybiegają myślą w przyszłość, mówią o rzeczywistości przeczuwanej tak, jakby była to aktualna rzeczywistość naszych dni. Jest w takim postawieniu sprawy jakaś odwaga, pewna siebie, ale czasem i niepotrzebny odcień niecierpliwości. Dedykując bowiem obraz świata z najbardziej uzasadnionych przesłanek, można niekiedy wyjść w końcu poza ich konkretność; wizja nowej, wspaniałej przyszłości nie kontrolowana ustawiczną konfrontacją z najbardziej drastycznymi szczegółami życiowymi, staje się zwolna czymś pustym". Csato broni prawa pisarza do ukazania własnego obrazu rzeczywistości bez eliminacji momentów, które nie odpowiadają przyszłościowej wizji życia. Plan kulturalny państwa musi pisarzowi pozostawiać pewne luzy, pozwalające mu na zachowanie autonomicznego charakteru swej twórczości. „Właśnie działalność pisarska, czerpiąca swe soki bezpośrednio z najbardziej banalnych nieraz zdarzeń życiowych, nasyca nasze plany kulturalne żywą treścią i pomaga rozbijać jego niepotrzebne skostniałości. Pisarz musi interesować się przede wszystkim ludzkimi dolegliwościami i smutkami, ludzką radością i cierpieniem; a dopiero ścisłości i rozległości sieci kontaktów kulturalnych zadecydują, jakie oddziaływanie i jakie skutki będzie mieć jego praca. W każdym razie trzeba zdawać sobie sprawę, że nawet w pozornie oderwanych rejonach i nawet w pozornych akcentach buntu nie występuje pisarz przeciw planowi, lecz stara się mu pomóc, zbliżając się do niego od dziedzin rzekomo odległych. Plan kulturalny i pisarz spotkają się kiedyś w momencie, który będzie urzeczywistnieniem demokracji w najbardziej konkretnych przejawach naszego życia."

Takich głosów w związku z planem kulturalnym mieliśmy w dyskusji ostatniej, która przyśpieszała dojrzewanie planu, zbyt mało. Należy sobie życzyć, by w chwili, gdy plan kulturalny przybierać będzie konkretne formy i gdy zacznie kształtować życie kulturalne w kraju, znaleźli się przy jego narodzinach ludzie myślący podobnymi, szerszymi kategoriami, by inaczej mówiąc umiano z programu przebudowy kulturalnej wyeliminować polityczną, partyjną propagandę a uczyniono zeń narzędzie prawdziwego upowszechnienia kultury, instrument organizujący kulturę dla wszystkich. Mamy nadzieję, że tak będzie rzeczywiście. Przede wszystkim zaś domagać się należy, by praktyczny i skuteczny głos w sprawach planu mieli twórcy, by związkom artystycznym dano tam miejsce jedno z przodujących, by nie znalazły się tam one jako niepotrzebne i łaskawie uwzględnione przyczepki, jak się to dzieje w niektórych Wojewódzkich Radach Kultury.

Ze spraw związanych z upowszechnieniem kultury zwrócić trzeba jeszcze uwagę na zapowiedź, która padła ze strony Centralnej Komisji Związków Zawodowych na tegorocznym niedawnym walnym zjeździe delegatów Związku Artystów Plastyków. Donosi o tym *Konrad Winkler* w *Dzienniku Literackim* (nr 8). Zapowiedz ta dotyczy realizacji projektowanego przez autora artykułu i propagowanego przez niego od r. 1945 tzw. ludowego mecenatu sztuki. Sprawę tę referowałem czytelnikom obszerniej na tym miejscu a poza tym była ona omawiana krytycznie na łamach „Odry". Przedstawiciel CKZZ Włodzimierz Sokorski złożył oświadczenie, z którego wynika, że ludowy mecenat sztuki zorganizowany przez związki zawodowe w najbliższym czasie powstanie jako instytucja, dająca sztuce nowego odbiorcę i zmieniająca w sposób zasadniczy sytuację życiową artysty w Polsce. Witając z radością tę zapowiedź, czuję się w obowiązku raz jeszcze zwrócić uwagę na zbyt wąskie ujęcie zagadnienia mecenatu przez Winklera na skutek przerzucenia olbrzymiej większości jego zainteresowań na sztuki plastyczne z fatalnym zlekceważeniem teatru, literatury i muzyki, na zbyt uproszczone postawienie sprawy udostępnienia dzieł sztuki masom. I znów wypada wyrazić nadzieję, że mecenat w swym ostatecznym regulaminowym i praktycznym kształcie zostanie poszerzony i wyjdzie poza jednostronne propozycje Winklera z korzyścią dla całości zagadnień kulturalnych. (ki)

„Jegor Bułyczow"
w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach

Władysław Krasnowiecki jako Jegor Bułyczow i Janina Jabłonowska jako Melania, przeorysza.

Nowe wydanie pism Tadeusza Kościuszki

Literatura historyczna poświęcona Tadeuszowi Kościuszce jest już dziś bardzo obfita. Ale — rzecz szczególna — brakło do tej pory książki któraby przedstawiła Naczelnika, jako polityka i ideologa postępu, w świetle jego własnych wypowiedzi. Brak ten uzupełnia wydana ostatnio przez Państwowe Zakłady Książek Szkolnych wzoro we wydawnictwo *Pism Tadeusza Kościuszki,* w opracowaniu doskonałego znawcy historii tego okresu profesora Henryka Mościckiego. Jest to wybór najcharakterystyczniejszych społeczno-politycznych wypowiedzi samego Kościuszki oraz opinii współczesnych o Naczelniku. Dokumenty i wspomnienia dotyczące prywatnej i publicznej działalności Kościuszki uzupełniają dział poprzedni. Sprawy ściśle wojskowe zostały z publikacji wyłączone. Wydawnictwo *Pism* poprzedził wstęp prof. Mościckiego. Nie jest to biografia, ale oryginalnie pomyślane dzieje gruntowania się i rozwoju w życiu Kościuszki, myśli społecznej i politycznej. Przedstawione tradycje rodzinne, wpływy wychowawcze szkoły kadeckiej, osiągnięć demokracji francuskiej i amerykańskiej, umożliwiają nam zrozumienie procesu formowania się zasad postępowych, liberalnych i demokratycznych samego Naczelnika. W ten sposób wyrasta człowiek, który pierwszy z taką mocą podniósł u nas hasło nie tylko walki o wolność, ale równocześnie wyzwolenia chłopa.

Dla każdego kto chce znaleźć dokumentację ideologii postępowej Kościuszki, dla każdego, kto zastanawia się nad spuścizną ideową Naczelnika, spuścizną ożywiającą programy demokracji polskiej XIX i XX w., dla dzisiejszego człowieka, poszukującego genealogii teraźniejszości *Pisma* stanowić będą bogaty materiał źródłowy. Staranne objaśnienia, przypisy oraz skorowidze osób i rzeczy ułatwiają ogromnie korzystanie z książki.

Na marginesie *Pism* budzi się jednak pewna refleksja. Rok Kościuszkowski z którego okazji postać Naczelnika tak bardzo zbliżyła się do całego społeczeństwa, mimo wielu cennych publikacji, przeważnie wszakże popularyzatorskich, nie przyczynił się na ogół do naukowego pogłębienia badań nad Kościuszką. W sferze dezyderatów pozostaje nadal wydanie *kompletnego* zbioru listów i pism Kościuszki, i co również pilne, nowej, na pełnym materiale źródłowym opartej monografii Kościuszki, skoro dzieło Korzona jest już dziś całkiem przestarzałe, a krytyka Skałkowskiego wymaga nowego przemyślenia kwestii spornych. Osobnym zagadnieniem dla siebie jest analiza ideologii społecznej Kościuszki oraz niezwykle ważna sprawa zbadania „pośmiertnego życia" Kościuszki, dziejów promieniowania jego myśli w XIX i XX wieku oraz historii jego legendy, która odegrała tak pozytywną rolę nietylko w walce o niepodległość, ale i w formowaniu się polskiej myśli demokratycznej. Uzasadnianie potrzeby naukowego zajęcia się po wyższemi tematami jest całkowicie zbędne. Toteż wypada tylko apelować do wydawcy *Pism Tadeusza Kościuszki,* a jednego z najwytrawniejszych u nas znawców tego problemu, prof. Mościckiego, aby właśnie w tym kierunku skierował swoje wypróbowane pióro i dał nam nowoczesną monografię Kościuszki, będącą ostatnim wyrazem wiedzy historycznej.*)

Kazimierz Lepszy

*) Pisma Tadeusza Kościuszki. Wybrał, objaśnił i wstępem poprzedził Henryk Mościcki. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1947, stron 344.

Zjazd PZZ

W dniach 7 i 8 grudnia odbył się w Poznaniu I Walny Zjazd Delegatów P. Z. Z.

Jakkolwiek istniały wszelkie powody formalne do natychmiastowego po wojnie reaktywowania tego zasłużonego dla Polski Związku — to przecież działające dotychczas władze naczelne P. Z. Z. nie posiadały należnych, strukturą organizacyjną, wymaganych kompetencji, których udzielić mógł dopiero pierwszy powojenny Walny Zjazd.

Pokaźną liczbę działaczy - zachodniowców (ponad ośmiuset delegatów z terenu) uzupełniali przedstawiciele Polonii z Belgii, Francji i Niemiec, reprezentanci nauki, prasy, partii politycznych, wszelkich dziedzin życia społecznego i kulturalnego. Miarą znaczenia jakie już posiada, i roli, jaką ma do spełnienia P. Z. Z. w przyszłości był udział w obradach przedstawicieli Rządu R. P., dalej wojewodów wszystkich trzech zachodnich województw Polski i udział przedstawicieli wojska.

Na czoło spraw zjazdowych wysunęły się problemy ideologiczne Związku. Dał im szeroką podbudowę referat Wicemin. Ziem Odzyskanych Józefa Dubiela („Rola P. Z. Z. w Polsce Ludowej"). W ramach dyskusji, nieraz nieliczącej się z wyrazami ostrej krytyki, potępiono tych działaczy - zachodniowców, którzy usiłowali w przedwojennym P. Z. Z. prowadzić politykę zgody z Niemcami, pragnąc w ten sposób uśpić czujność społeczeństwa.

Po długiej dyskusji nad wczorajszym i dzisiejszym obliczem politycznym Związku ustalono następującą deklarację ideowo - polityczną PZZ.

Polski Związek Zachodni, odrodzony na nowych podstawach w Polsce Demokratycznej, wspiera swe stanowisko na nieodpartych naukach, wynikających z pozytywnych i negatywnych doświadczeń tysiącletnich dziejów narodu.

Polski Związek Zachodni nawiązuje do wszystkich szczytnych tradycji patriotycznych i wolnościowych narodu polskiego — do tradycji bohaterskiego wysiłku ludu śląskiego w trzech powstaniach i ludu wielkopolskiego w r. 1918, będących wykładnikiem prawdziwych dążeń społeczeństwa.

Potępiając politykę reakcyjną, PZZ nawiązuje do stanowiska tych sił politycznych w Polsce, które prowadziły konsekwentną walkę z faszyzmem w kraju i w świecie. PZZ opiera się na dorobku myśli politycznej i walki zbrojnej demokracji o wyzwolenie od najazdu hitlerowskiego, — na tych siłach politycznych, które dzięki słusznej polityce doprowadziły do powrotu narodu polskiego nad Odrę, Nysę Łużycką i Bałtyk.

Polski Związek Zachodni realizuje swe zadania jedynie w oparciu o założenie polityczne polskiej demokracji ludowej, widząc największe niebezpieczeństwo dla narodu w odrodzeniu niemieckich sił agresywnych. Dążenie amerykańskiego i angielskiego imperializmu do sparaliżowania demokratyzacji, demilitaryzacji i denazyfikacji Niemiec, zwalniają zbrodniarzy hitlerowskich i reaktywują działalność reakcyjnych związków. Walka z niebezpieczeństwem odrodzenia się niemieckiej agresji wymaga zdecydowanej postawy wobec podżegaczy wojennych w trosce o pokój światowy i suwerenność narodów.

PZZ organizuje Polaków w kraju i za granicą pod hasłami:

„Odra, Nysa Łużycka i Bałtyk — granicą bezpieczeństwa i dobrobytu dla Polski, granicą pokoju dla świata!"

„Władza Ludowa — gwarancją utrzymania polskości na Ziemiach Odzyskanych na wieki".

Zjazd poświęcił niestety zbyt mało uwagi zagadnieniom konkretnego planu pracy na najbliższą przyszłość, a dotychczasowej działalności Związku — wyczerpująco zreferowanej przez dr Czesława Pilichowskiego — nie poddał poza jednym przemówieniem — żadnej zapładniającej krytyce. Źle też, że nie wypowiedzieli się w należyty sposób tak licznie zgromadzeni przedstawiciele terenu; mogli by dać przecież odpowiednie tło pod suche sprawozdanie Zarządu Głównego, mogli by opowiedzieć o swoich pracach, o swych osiągnięciach i trudnościach, o swych problemach. Nie znalazły wszechstronnego naświetlenia ani sprawy walki z resztkami niemczyzny (nacz. Duda ze Śląska wspomniał o polszczeniu imion i nazwisk — ależ to nie istota problemu — tylko fasada), ani sprawy wiązania się grup społecznych na odzyskanych ziemiach, ani sprawa programowej repolonizacji na Opolszczyźnie, Warmii i Mazurach.

Jeśli mimo to I Walny Zjazd Delegatów należy uznać za fakt, mający dla Polskiego Związku Zachodniego znaczenie po prostu przełomowe, to jest tak dlatego, że nareszcie Związek ustalił wyraźnie swoje założenia ideowo - polityczne, na których oprze swoją dalszą pracę. Konsekwentną linię tej pracy z pewnością nada Związkowi wybrana na Zjeździe Rada Naczelna z Wicemarszałkiem Sejmu Wacławem Barcikowskim jako przewodniczącym oraz nowy Zarząd Główny, którego kierownictwo złożono w ręce Wicemin. Józefa Dubiela a Sekretariat Generalny w ręce dotychczasowego dyrektora Zarządu Głównego dr Czesława Pilichowskiego. (Kz)

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 13001

Telegramem z Wrocławia

(tel. wł.) *We Wrocławiu odbyła się walka w wadze koguciej między Wojciechem Żukrowskim a bohaterskim kogutem kapralem Marcinem Pypciem. Zwyciężył kogut. Szczegóły o zwycięzcy znajdziecie w II wydaniu „Porwania w Tiutiurlistanie".*